

**MAY KAROL**

**BIAŁY WÓDZ INDIAN**

## ROZDZIAŁ I

### UROCZYSTOŚĆ SAN JUANA\*

W Meksyku, na zachód od Wielkich Stepów, u stóp masywu Sierra Blanca\*\*, zwanego tak dlatego, że trzy czwarte roku pokryty jest śniegiem, leżało ongiś zamożne miasto San Ildefonso w dolinie o takiej samej nazwie, a nad nim, na szczycie fortecy, powiewała dumnie ; hiszpańska flaga dla postrachu Indian i innych wrogów państwa. Pod jej opiekuńczymi skrzydłami kwitły wokół kolonie, farmy, żyli spokojnie właściciele wielkich posiadłości i bogatych kopalni.

Dolina, rozciągająca się na przestrzeni dziesięciu mil, wrzała życiem, które nabierało szczególnego wyrazu w dniach świąt religijnych, tak licznych w Meksyku. Pustoszały wtedy wsie i miasta, a mieszkańcy - bogaci i biedni, wielcy i mali - wylęgali na pobliskie pola, aby na łonie natury oddawać się beztróskim rozrywkom i wspólnym zabawom.

W dzień San Juana obchodzono właśnie jedną z takich uroczystości. Obywatele San Ildefonso podążyli za miasto na rozległą łąkę i tu zajęli miejsca w specjalnie przygotowanym amfiteatrze. Już na pierwszy rzut oka było widać, że najlepsze rzędy zajęły najbardziej liczące się w miejscowym towarzystwie rodziny. Oto rozsiadł się bogaty kupiec don Rincon ze swą pulchną małżonką i czterema dobrze odchowаныmi córkami. Obok niego burmistrz z dumą trzymający w ręku symboliczną trzcinę. Dalej piękna Catalina de Crucez, córka skąpca don Ambrosia, bogatego właściciela kopalni. Towarzyszy jej kapitan Roblado nieoficjalnie uznawany za jej narzeczonego. Obsyty galonami od stóp do głów, co chwilę podkreca ogromnego węża i marszczy brwi za każdym razem, gdy zauważy śmiałka, który nieco dłużej zatrzyma swój wzrok na obliczu pięknej Cataliny.

Powszechnie wiadomo, że kapitan utrzymuje się tylko ze swej pensji i jest mocno zadłużony, lecz poza tym uchodził za prawdziwego gachupino, to znaczy Hiszpana rodem ze starej Hiszpanii. I chyba tym trzeba tłumaczyć zgodę starego skąpca na wydanie córki za gołego kawalera, co nie należy do rzadkości wśród plebejuszów Nowego Meksyku.

Przy kapitanie siedział jego przełożony, komendant garnizonu pułkownik Viscarra, dalej młody porucznik Garcia. W tłumie wybijali się na czoło żołnierze garnizonu, sami ułani, brzęcząc długimi szablami i ogromnymi ostrogami, raz po raz bratali się z poszukiwaczami złota i z rancho - osadnikami uprawiającymi ziemię. Naśladując swoich oficerów przybierali miny

---

\* San Juan - Święty Jan

\*\* Sierra Blanca - Białe Góry

pyszalkowate, pewne siebie, a sądząc po ich manierach, można się było domyślić, jakie wpływy w tym kraju posiada wojsko.

Osadnicy zjawili się we wspaniałych strojach. W spodniach aksamitnych, szerokich, rozciętych u dołu i po bokach. Włożyli buty z jasnej skóry. Kurtki aksamitne, bogato haftowane złotem, piękne koszule, a zamiast pasów czerwone jedwabne szarfy. Ich głowy nakrywały kapelusze z szerokimi rondami, obszyte srebrnymi lub złotymi galonami, podobnie przyozdobione w górnej części.

Niektórzy z mężczyzn zamiast kurtek zarzucili na plecy sarape, wełniane okrycie w pasy. Każdy miał wspaniałego wierzchowca i ciężkie ostrogi, ważące blisko cztery funty.

Obok osadników w wielkiej liczbie spotyka się też tutaj spokojnych Indian, nazywanych tak dla odróżnienia od „dzikich” Indian.

Gdy mężczyźni przechadzają się tam i sam dużymi grupami, ich żony i córki zajmują się handlem. Rozwiesiwszy nad sobą dla ochrony od słońca daszek, sporządzony z palmowych liści, siedzą obok rogózek\* trzciniowych, na których rozłożyły arbuzy, figi, pataty\*\*, pieczone piniony, śliwki, winogrona i morele. Jedne sprzedają słodycze, lemoniadę, miód, inne - gotowany korzeń agawy i słodkie pilnocillos, jeszcze inne robią placki - tortiiias\*\*\*, przygotowując je czerwonym pieprzem, lub rozwożą czekoladę w glinianych garnkach.

Górnicy i żołnierze otaczają handlarki cygar produkowanych z miejscowego dziko rosnącego tytoniu i aquarediente, kiepskiej wódki z kukurydzy lub aloesu. Lecz główną uwagę skupiają na sobie ci, którzy stają do konkursu w igrzyskach. Są to młodzieńcy wszystkich stanów i zajęć, począwszy od synów bogatych właścicieli ziemskich i łowców bizonów, kończąc na kowbojach, nawykłych czuwać konno nad powierzonym sobie stadem, dochodzącym nieraz do dziesięciu tysięcy sztuk. Oczekując rozpoczęcia zabawy, płasają na wspaniałych rumakach, najlepszych, jakie posiadają, przed ławkami seńorit, popisując się swoją zręcznością i jaskrawym przybraniem koni.

W programie pierwsze miejsce zajmuje coleo de toros, co dosłownie znaczy wzięcie byka za ogon. Zabawa ta, choć nie roznamiętnia tak widzów i nie jest tak niebezpieczna jak walki byków, wymaga nie mniej odwagi i zręczności oraz siły. Z tego powodu młodzież nowomeksykańska poczytuje sobie za wielki honor zająć w niej pierwsze miejsce. Dostępna jest wszędzie, gdyż nawet małe wioski, których nie stać na osobną arenę, jakie mają duże miasta, nie

---

\* Rogóзка - mata

\*\* Patat (batat) - roślina, której mączyste bulwy są jadalne

\*\*\* Tortiiia - placuszek; placek kukurydziany

odmawiają sobie urządzenia cieleo, do czego potrzebny jest tylko jaki taki większy plac i dostatecznie dziki byk.

Toteż gdy herold daje sygnał do rozpoczęcia igrzysk, tłumy zgromadzone na łące poczynają się rozsuwać, aby zrobić miejsce zawodnikom.

## ROZDZIAŁ II

### COLEO DE TOROS

Zwierzę, trzymane na lassie przez dwóch kowbojów, szło potrząsając kosmatym łbem, na którym groźnie sterczały proste rogi. Długim ogonem biło się po bokach i kopytami waliło w ziemię wydając głuchy ryk. Łatwo było się domyślić, że najmniejsze podrażnienie może w nim wzbudzić wściekłość. Pokonanie byka było tym trudniejsze, że wybór padał zwykle na okaz najmocniejszy, nieujarzmiony i zwinny, poza tym w zapasach zabraniano nie tylko używać jakiegokolwiek broni, lecz nawet lassa. Zawodnik powinien dopaść byka w biegu, schwycić go za ogon, wreszcie koniecznie wsunąć ogon pod jedną z tylnych nóg, a następnie przewrócić zwierzę na grzbiet.

Zatrzymawszy się o dwieście kroków od linii zawodników w taki sposób, aby byk zwrócony był łbem w stronę łąki, kowboje zdjęli lasso i rozdrażnili wbijając mu w bok kilka strzał z szmermelami\*.

Rozjuszony byk rzucił się naprzód wywołując głośnie okrzyki widzów, za nim puścili się zawodnicy. Rozpoczęła się gonitwa. Jeden z mężczyzn pędzący na wielkim gniadym koniu już zawładnął wspaniałym ogonem, lecz przegrał, gdyż nie zdążył przewrócić byka, który leciał jak szalony dalej, zmieniając tylko trochę kierunek. Następnie dobiegł do zwierzęcia młody farmer, jednak za nic nie mógł złapać ogona, a gdy wreszcie to zrobił, byk skręciwszy jednym susem w bok bez wysiłku uwolnił się od napastnika.

Zgodnie z zasadami coleo w przypadku niepowodzenia zawodnik obowiązany był do wycofania się poza linię igrzysk. W ten sposób pierwszy zawodnik i farmer znaleźli się poza konkursem.

Ich los niebawem poczuli dzielić inni młodzieńcy, którzy - zawstydzeni porażką - zataczali na koniach jak najdalszy krąg, nie chcąc pokazywać się widzom na oczy, i stawali za plecami tłumu.

Byk był w doskonałej formie. Ani na chwilę nie przerywał biegu. Wysiłki kolejnego jeźdźca, dwóch kowbojów, kilku osadników również nie przyniosły pożądanego skutku. Niemniej widownia dobrze się bawiła. Parę upadków, na szczęście niegroźnych, wywołało ogólną wesołość zgromadzonych. Byk był u szczytu powodzenia. W ciągu kilkudziesięciu minut wyłączył z gry jedenastu zawodników. To-też pod jego adresem rozległy się oklaski i okrzyki:

- Bravo, toro, bravissimo!...

---

\* Szmermel - raca, fajerwerk

Zaś zawodnikom nie szczędzono szyderczych docinków.

Niespodzianie na arenie ukazał się nowy młodzian. Miał pod sobą karego mustanga\*, jednego z potomków znakomitej rasy andaluzyjskiej żyjącej w stepach w stanie dzikim. Koń pędził z lekka zginając. Jego długi ogon zwężający się ku dołowi w biegu spadał niczym lisia kita. Zobaczywszy to szlachetne zwierzę o nieskazitelnych kształtach widzowie wydali mimowolny okrzyk zachwytu.

Jeździec miał najwyżej dwadzieścia lat. Różniły go od innych jasne, wijące się włosy i biała karnacja twarzy, gdyż wszyscy bez wyjątku zawodnicy byli smagli. Był odziany w kompletny strój osadnika ze zwykłym wyszyciem i upiększeniami. Dla większej swobody rąk mangę, płaszcz piękniejszy i bogatszy od sarape - zarzucił w tył, a jego purpurowe poły powiewając na wietrze jakby uskrzydlały powabną, piękną postać młodzieńca.

Nikt dotychczas nie zauważył tego wspaniałego jeźdźcy. Otulony w swój płaszcz stał na uboczu, niemal obojętny na zmagania zapaśników. Toteż nieoczekiwane i efektowne jego zjawienie się wzbudziło zrozumiałą ciekawość. Wszyscy chcieli się dowiedzieć kto to taki.

- To Carlos, łowca bizonów - wyjaśnił ktoś z tłumu.

Tymczasem jeździec już galopował trzymając krótko cugle, a znalazłszy się na dwadzieścia kroków od byka puścił się jak strzała, dopadł zwierzę, chwycił w biegu jego długi ogon, pociągnął w dół, potem do góry, momentalnie wyprostował się w siodle i w tej samej chwili byk padł na wznak na ziemię.

Głośne okrzyki zachwytu ogłosiły zwycięzcę coleo de toros. Carlos podjechał do amfiteatru, wdzięcznym ruchem zdjął kapelusz i kłaniał się uprzejmie widzom, przy czym wzrok jego zatrzymał się dłużej tuż obok kapitana Roblada, który ku swemu straszemu gniewowi ujrzał, że i Catalina de Crucez spojrzała przychylnie na śmiałka, a rumieniec oblał jej cudne oblicze.

Zwycięzca skierował się teraz w stronę widzów rozlokowanych po bokach amfiteatru, którzy z braku miejsca, stojąc na swych ciężkich wozach, przyglądali się widowisku. Z jednego wozu wyciągnęła do młodzieńca ręce młoda, blada dziewczuszka o włosach jasnych, z popielatym odcieniem. Byli bardzo podobni do siebie. Te same rysy twarzy, ta sama cera, ta sama rasa. Tak, to siostra Carlosa. Tryumf brata wzbudził w niej szczerą radość. Na wozie siedziała też stara, dziwnie wyglądająca kobieta z rozpuszczonymi włosami koloru lnu. Milczała, lecz zachwyty, jaki wywołała w niej zręczność zawodnika, wyzierał z jej wyrazistych oczu. Tłum patrzył na nią z ciekawością i pewnego rodzaju przesądnym strachem. Większości wydawała się osobą podejrzaną.

---

\* Mustang - dziczyły koń z prerii Ameryki Północnej; obecnie wytępiony

- Wiedźma! Czarownica! - przeleciał cichy szept, bo zebrani starali się, aby nie słyszał tego ani Carlos, ani jego siostra, gdyż stara kobieta była ich matką.

## ROZDZIAŁ III

### MONETA

Niezdolnego do dalszej walki byka zagnano z powrotem do zagrody; zostawał własnością zwycięzcy. Teraz nastąpiła przerwa w igrzyskach. Skorzystał z tego komendant garnizonu i chcąc zrehabilitować swego faworyta kaprała Gomeza, który przegrał w coleo de toros, wyszedł na arenę. Poprosił o chwilę uwagi i położywszy na ziemi dolara rzekł:

- Ta moneta stanie się własnością tego, kto ją podniesie z konia w biegu, a założę się o pięć uncji złota, że tym sztukmistrzem będzie kapral Gomez.

Z początku nikt nie odpowiedział na wezwanie. Pięć uncji złota równało się 432 frankom i było dużą sumą. Tylko człowiek bogaty mógł ryzykować taki zakład. Wreszcie wystąpił młody farmer, don Juan:

- Pułkownik Yiscarra - rzekł - daleki jestem od tego, aby wątpić w powodzenie kaprała Gomeza, lecz przyjmuję zakład, ponieważ mamy tutaj drugiego zapaśnika, który nie ustępuje kapralowi w zręczności. Czy nie zgodziłby się pan podwoić stawki?

- A o kim pan mówi? - zainteresował się pułkownik.

- O Carlosie, łowcy bizonów.

- Dobrze, przystaję na pańską propozycję! Zgodnie ze zwyczajem wszyscy mają prawo do współzawodnictwa. Za każdym razem, gdy ktoś wygra dolara, dołożę drugiego, pod tym jednak warunkiem, że moneta zostanie podniesiona za pierwszym razem.

Natychmiast poczęli zgłaszać się kandydaci na koniach. Przystąpiono do konkursu. Niektórzy zawodnicy zdołali zaledwie dotknąć monety, innym udało się ją nawet ruszyć z miejsca, lecz nikt nie mógł jej chwycić i podnieść do góry. Wreszcie na wielkim gniadym koniu wjechał na arenę kapral Gomez. Ukazał obecnym ponurą, bladą twarz. Wciąż przeżywał niepowodzenie w utarczce z bykiem. Teraz zrzucił z siebie mundur, odpiął szablę i skróciwszy munsztuk popędził konia w kierunku monety lśniącej na zielonej murawie.

Złapał ją wychyliwszy się mocno z siodła, zdołał też podnieść z ziemi dolara, ponieważ jednak chwycił go nie dość zręcznie, pieniądz wyślizgnął się pomiędzy palcami, zanim kapral zbliżył go do strzemion.

Wtedy ukazał się Carlos na swym wspaniałym mustangu. Gdy-by jego oblicze było ciemniejsze, od razu spotkałby się z sympatią tłumu. Lecz widzowie z dystansem i uprzedzeniem odnosili się do niego, ponieważ nie wywodził się z ich plemienia. Był Amerykaninem. Nazwą tą



Meksykanie, Chilijczycy i Peruwianie określają każdego obywatela stanów północnoamerykańskich, jak gdyby sami nie należeli do mieszkańców tej samej części świata.

Zawodnik nie robił żadnych przygotowań, nie zdjął nawet płaszcza, który powiewał mu na plecach. Mustang, posłuszny głosowi pana, puścił się od razu galopem, następnie zręcznie prowadzony łydkami jeźdźca począł krążyć wokół pieniądza z coraz większą szybkością, wreszcie skierował się wprost do monety. Zrównawszy się z monetą jeździec schylił się błyskawicznie, porwał ją, podrzucił do góry i momentalnie opanowawszy konia pochwycił dolara prawą ręką. Wszystko to zrobił ze zręcznością hinduskiego kuglarza. Nawet ci, którzy odnosili się do Carlosa z rezerwą, nie mogli powstrzymać się od wyrażenia mu swego uznania. Powszechnie gromkie oklaski uderzyły pod niebo.

Yiscarra był wściekły na młokosa, przegrał dziesięć uncji złota, sumę znaczną nawet dla komendanta przygranicznej fortecy. Prócz tego jego porażka wzbudziła ogólne szyderstwo, tłum nie darował mu niedawnej pewności siebie. Toteż pułkownik złym okiem spojrzął na łowcę bizonów i zapałał doń nienawiścią. Okazja odwetu nadarzyła się niebawem, gdyż już ogłaszano następny numer programu. Tym razem chodziło o zatrzymanie konia w pełnym biegu na dwadzieścia kroków od kanału melioracyjnego, pełnego brudnej wody i tak szerokiego, że koń mógł go przeskoczyć, ale też głębokiego, że można było pograć się w nim z głową.

I do tych zawodów zgłosiło się wielu jeźdźców. Carlos tym razem nie miał jednak zamiaru brać udziału w igrzyskach. Roblado, nie mniej wściekły nań od swego zwierzchnika, coś poszeptał z pułkownikiem i po chwili obaj mężczyźni zbliżyli się do znieawidzonego przez siebie młodzieńca. Kapitan spytał go z obłudną zyczliwością, dlaczego nie uczestniczy w zabawie.

- Według mnie - odparł chłopak - gra niewarta świeczki.

- Zapewne - rzekł zgryźliwie Roblado - bo też i niełatwo zatrzymać konia przed kanałem. A poza tym można utonąć - do-dał z sarkastycznym uśmiechem.

Oficerowie mieli nadzieję, że Carlos uniesie się ambicją i zgodzi na uczestnictwo w tej konkurencji. A ponieważ nie stanął od razu do zawodów, przypuszczali, że w tej dziedzinie nie czuje się zbyt mocny. Już niemal widzieli, jak tłum szydzi z niefortunnego jeźdźca, od stóp do głów powalanego błotem.

Carlos długo nie odpowiadał. Ubodły go słowa Roblada i w ogóle zachowanie się obu oficerów, ale nie dawszy tego po sobie poznać wyjaśnił spokojnie:

- Nie chcę mieszać się do zabawy, która może imponować dziesięcioletniemu chłopcu. - Tu chwilę się zastanowił i dodał: - Ale jeżeli panowie gotowi jesteście zaryzykować dolara - biedny łowca bizonów nie rozporządza większą sumą - to pokażę sztukę praw-dziwie imponującą.

- I czegoż takiego nadzwyczajnego ma zamiar dokonać łowca bizonów? - zastanawiali się przygodni świadkowie rozmowy trzech mężczyzn.

- Widzicie, panowie, ten cypel górski? - wskazał na Ninnę Perdide, stromą górę wznoszącą się 600 stóp nad doliną, ze szczytu której patrząc w dół ludzie najbardziej odważni bledli. - Otóż gotów jestem w galopie zatrzymać konia na dwadzieścia kroków przed przepaścią.

Słuchacze zaszemrali:

- To niemożliwe! To byłoby szaleństwo! Najwyraźniej kpi z wojskowych!

Lecz Yiscarra i Roblado natychmiast podchwycili:

- Przyjmujemy zakład!

- Stawiam uncję złota!

- Panowie! - odparł Carlos. - Bardzo mi przykro, że nie mogę postawić tyle samo przeciwko wam. Dolar to wszystko, czym rozporządzam w tej chwili, a obawiam się, że nikt z obecnych nie zechce pożyczyć mi pieniędzy. - Tu z uśmiechem spojrzął po ludziach skupionych wokół niego. Ale jego pomysł nie znalazł uznania w oczach widzów. Z przerażeniem czekali na bieg wydarzeń.

## ROZDZIAŁ IV NA CYPLU GÓRY

- W każdym innym przypadku postawiłbym na ciebie dwadzieścia uncji, lecz tej propozycji nie myślę aprobować. Uważam, że to szaleństwo! - wołał Juan, który już wcześniej zakładał się z pułkownikiem.

- Przyjacielu - uspokajał go Carlos - nie obawiaj się! Nie po to jeździłem dziesięć lat konno, aby mógł ze mnie szydzić pierwszy gachupin.

- Jak śmiesz! - wykrzyknęli jednocześnie komendant i kapitan chwytając za rękojeść szabel.

- Na boga, panowie - mitygował ich z uśmiechem Carlos. - Nie gniewajcie się! To słowo żartobliwie określające Europejczyka wypsnęło mi się przypadkowo. Zapewniam, że nie miałem zamiaru was obrazić.

- Radzę ci trzymać język za zębami! - zawołał gniewnie pułkownik. - Inaczej pożałujesz... - oficer zamilkł zmełszy w ustach przekleństwo, bo ujrzał siostrę Carlosa, która dowiedziawszy się o postanowieniu brata przybiegła, aby powstrzymać go od tego strasznego zamiaru.

- Drogi Carlosie! - wołała obejmując go za szyję. - Ja wiem, że jesteś najodważniejszy ze wszystkich, lecz pomyśl o niebezpieczeństwie, zastanów się, na Boga!

- Kochana siostro, nie zmuszaj mnie, abym się rumienił przy ludziach. Pomówmy z matką, ona cię uspokoi!

To rzekłszy podążył w stronę wozu, na którym siedziała stara kobieta. Świadkowie tej sceny i oczywiście obaj oficerowie udali się za rodzeństwem.

Carlos opowiedział o wszystkim matce, a w końcu wyjaśnił:

- Rosita jest temu przeciwna, dlatego przyszedłem się ciebie po-radzić. Nic nie zrobię wbrew twojej woli, lecz wiedz, że prawie dałem słowo i powinienem go dotrzymać. To sprawa mego honoru, matko.

Ostatnie słowa wyrzekł głośno, dobitnie. Kobieta dźwignęła się z miejsca, odrzuciła w tył długie siwe włosy i odparła dumnie:

- Synu mój, jesteś urodzony do wielkich czynów, wszak płynie w twych żyłach krew twego niezapomnianego ojca... Idź! I pokaż nędznym niewolnikom, czego może dokonać wolny obywatel Ameryki... Ruszaj na górę! Na Ninnę Perdidę!

Błądny wzrok i dziwny uśmiech towarzyszyły straszemu rozkazowi, który dla zebranych był wyrokiem śmierci matki na syna. Słowa starej wywołały dreszcz zgrozy w widzach. Tylko

oficerowie, burmistrz i niektórzy bardziej wpływowi obywatele poczuli się dotknięci porównaniem ich do niewolników i wymienili groźne spojrzenia.

Carlos objął siostrę, pomachał na pożegnanie białą chustką w stronę amfiteatru i ruszył z dwoma oficerami, w asyście tłumu gapiów, krętą ścieżką ku wzgórzom. Biegły za nim współczujące spojrzenia pozostałych w dolinie widzów, którzy z bijącym sercem mieli oczekiwać tak niezwykłego zakładu.

Wreszcie orszak stanął na szczycie góry. Poczęto szukać odpowiedniego miejsca. Wybrano niewielką równinę, pokrytą niewysoką, gęstą trawą, na której nie widać było ani jednego kamyka. Ninna wysuwała się głębokim cyplem z rzędu skał i na tym to ostrym urwisku Carlos zamierzał wstrzymać mustanga w pełnym biegu. Linię wyznaczono licząc długość dwóch koni od ostatnich kępek trawy porastającej brzeg przepaści.

Yiscarra i Roblado chcieli jeszcze bardziej zmniejszyć tę zatrważająco małą przestrzeń, lecz spotkali się z ogólnym oburzeniem. Obaj oficerowie pragnęli śmierci łowcy bizonów. Szczególnie zawzięty był kapitan, który domyślił się, do kogo w ostatnim pożegnaniu machał chusteczką szalony Carlos.

Choć przypuszczenie, że obaj oficerowie życzyli chłopcu, aby spadł w przepaść, może się wydawać nieprawdopodobne, w istocie miało rację bytu, jeśli wziąć pod uwagę miejsce, ludzi i czas: otóż w Nowym Meksyku nierzadko dochodziły do głosu bardziej jeszcze nieludzkie żądze i czyny.

Tymczasem Juan widząc, że nic nie zdoła powstrzymać Carlosa, podszedł do przyjaciela.

- Widzę, że nie przełamie twego uporu - rzekł i podsunął mu woreczek ze znaczną sumą pieniędzy. - Weź, ile chcesz, i postaw na szczęście: nie warto narażać życia dla błahostki.

- Dziękuję ci serdecznie, Juanie, daj mi tylko uncję złota. Razem z moją uncją będzie dwie. To wszystko, co mogę zaryzykować.

- W takim razie podwyższam stawkę. Pułkownik - zwrócił się Juan do komendanta - przypuszczam, że z przyjemnością zgodzi się pan na większą kwotę w tym zakładzie. Prócz tego, co stawia Carlos, proponuję ze swej strony dziesięć uncji.

- Dobrze - odparł niechętnie komendant.

- Czy mógłby pan podwoić tę sumę?

- Czy mógłbym?! - wykrzyknął komendant doprowadzony do pasji lekceważącym tonem farmera. - Zwiększam ją w czwórnasób, jeżeli pan pozwoli.

- Owszem. Złożmy więc pieniądze w trzecie ręce.

Przeliczyli złote monety i wręczyli je jednemu z obecnych. Wybrano sędziów. Carlos przystąpił do przygotowań. Z gorączkową ciekawością śledzono każdy jego ruch. Młodzieniec

zsiadł z konia, zdjął płaszcz, odpasał nóż myśliwski i wraz z kańczugiem oddał wszystko Juanowi. Potem sprawdził, czy mocno przywiązane są ostrogi, pod-ciągnął pas i nasunął na głowę kapelusz. Zapiął na całej długości aksamitne spodnie, gdyż ich miedziane guziki mogłyby krępować jego ruchy. Następnie zajął się koniem, który stał dumny i spokojny, jakby wiedząc, że żądają od niego niezwykle ważnej rzeczy. Upewnił się co do mocy trzęzi\*, zbadał, czy w wędzidle munsztuka nie ma pęknięć lub owsianych łupin. Starannie wypróbował lejce artystycznie splecione z końskiego włosia. Skórzane mogłyby pęknąć, ale wytrzymałość tych nie ulegała najmniejszej wątpliwości. Załatwiwszy się z tym wszystkim młodzieniec wziął się do siodła. Sprawdził pętlice i drewniane deszczułki służące zwyczajem meksykańskim za strzemiona. Zwłaszcza popręgi stały się przedmiotem jego specjalnej uwagi. Rozluźniwszy je najpierw, ściągnął przy po-mocy kolana tak mocno, że nie można by pod nie wsunąć nawet czubka małego palca.

Dokonawszy tego Carlos skoczył na konia i puścił go nad samą krawędzią przepaści, z początku stępa, później kłusem, wreszcie krótkim galopem. Już ten zwykły spacer, będący swoistą próbą i przygotowaniem, wydawał się straszny, a dla widzów patrzących z dołu stanowił wstrząsające i zarazem wspaniałe widowisko.

Wreszcie nastąpił decydujący moment. Skupiona mina jeźdźca

wskazywała na zbliżanie się rozwiązania. Carlos usadowił się mocniej w siodle i puścił mustanga ku przepaści. Oczy wszystkich wpiły się weń w nieludzkim oczekiwaniu. Zamarły serca. Zapanowało głębokie milczenie. Słyszać było tylko stuk kopyt końskich po twardym gruncie cypla. Już zaledwie pięćdziesiąt kroków dzieli jeźdźca od przepaści. Ale zachowuje się tak, jak gdyby nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie ściąga lejców, wyraźnie czeka, aż koń przeskoczy wyznaczoną linię. Dreszcz trwogi przeszedł widzów zarówno tych, którzy znajdowali się na wzgórzu, jak i tych w dolinie.

- Boże wielki!... Przebył linię! Zguba nieunikniona! – zaszemrał tłum.

I nagle w momencie, gdy koń szykował się do skoku w sześćset-stopową przepaść, lejce ściągnęły się, przednie nogi mustanga pod ich naporem gwałtownie zatrzymały się, jakby wrosły w ziemię, a zad zwierzęcia dotknął gruntu. Rozległ się spontaniczny okrzyk: „brawo”, który złączył się z frenetycznymi oklaskami dolatującymi z doliny.

Carlos zatrzymał się o trzy kroki od przepaści! Właśnie teraz zdjął swój kapelusz i machał nim w stronę amfiteatru. Z doliny był to niebywały widok. Koń i jeździec we wspaniałej, porywającej pozie odcinali się wyraźnie na tle lazurowego nieba. W tej krótkiej chwili zdawało się widzom, że na szczycie Ninny Perdidy jak na gigantycznym postumencie stoi jednolity posąg z

---

\* Tręzia - uzda, wodze uzdy

brązu. Oklaski zdwoiły się. Entuzjazm ogarnął wszystkich. Tylko Yiscarra i Roblado zjeżdżali ze wzgórza z zaciśniętymi z wściekłości ustami. Byli pewni śmierci Carlosa, a tu takie rozczarowanie.

- Poczekaj - szeptał poblady Roblado - jeszcze cię dopadnę.

## ROZDZIAŁ V

### WYPRAWA NA BIZONY

W tydzień po uroczystości San Juana niewielka grupa łowców bizonów przepłynęła się w bród przez rzekę Pecos w pobliżu uroczyska Okrągłego Lasu. Było ich pięciu: biały, Metys i trzech czystej krwi Indian. Mieli ze sobą trzy wozy, każdy zaprzężony w dwie pary byków, i pięć obładowanych mułów. Właścicielem i wodzem karawany był Carlos. Metys, Antonio, pełnił obowiązki poganiacza mułów. Indianie kierowali bykami ciągnącymi wozy.

Carlos jechał na czele na pięknym karym koniu otulony szerokim płaszczem. Do podróży wdział skromniejsze ubranie, rezygnując z wyszywanej kurtki, pąsowej szarfy i aksamitnych spodni zarówno ze względu na bezpieczeństwo, jak i wygodę. Wozy wypełnione były chlebem, kukurydzą, czerwoną fasolą i czerwonym pieprzem. Ładunek mułów stanowiły wełniane koce, szklane ozdoby, hiszpańskie noże, błyskotki imitujące złoto i srebro i wiele innych drobiazgów.

Wygrana Carlosa podczas uroczystości dała mu możliwość nabycia tych wszystkich produktów i przedmiotów. Farmer Juan namówił go też, aby pożyczył odeń pięć uncji złota i cały kapitał włożył w towary.

Mała karawana, przeszedłszy w bród Pecos, skierowała się na południowy wschód i podążyła z biegiem jednego z jej dopływów, na brzegach którego, jak zapewniano Carlosa, przebywała od kilku lat ogromna ilość bawołów.

Poganiacz Antonio i dwaj jego pomocnicy byli nie mniej zręcznymi myśliwymi od Carlosa. Mieli przy sobie łuki i strzały, które są tu ważniejsze od broni palnej. Polując wierzchem myśliwy często nie ma czasu nabić w biegu karabinu czy pistoletu, a ponieważ łowcy strzelają zaledwie na kilka kroków od celu, łuk im w zupełności wystarcza. Niezależnie od tego na jednym z wozów leżał amerykański karabin z poczerniałą kolbą, będący własnością Carlosa. Karabin ten chłopak otrzymał w spadku po ojcu i stanowił on rodzinną świętość.

Jakkolwiek droga przez pustynię była nadzwyczaj ciężka i nieraz mijał cały dzień, podczas którego nie napotkali wody, dzięki doświadczeniu Carlos nie tracił ani byków, ani mułów. Zwykle podróżowali nocą. Napoiwszy zwierzęta przy ostatnim wodopoju, ruszali w drogę pod wieczór i ciągnęli do samego świtu. Później karawana zatrzymywała się na parę godzin, podczas których byki i muły napasły się, po czym szła do południa. Potem rozkładano się znowu taborem na kilkugodzinny odpoczynek, aby doczekawszy chłódów ruszyć w drogę i wędrować do głębokiej nocy, do najbliższego wodopoju.

Po kilku dniach podróży karawana poczęła zjeżdżać ze stoku płaskowzgórza i dotarła do jednego z dopływów Red River. Tutaj okolica zupełnie się zmieniła. Wędrowcy wkroczyli na falujący step. Wzgórza i doliny pokrywał bogaty dywan bawolej trawy, której krótkie łodyżki nadawały wygląd świeżo skoszonej łąki z nową siłą wypuszczającej kielki. Było to wymarzone miejsce dla bizonów. Niebawem Carlos trafił na ślad ich obecności. Dostrzegł głębokie odciski kopyt i okrągłe jamy, świadczące o pobycie stepowego bydła.

Na drugi dzień ujrzeli liczne stada, spokojnie pasące się na stepie i do tego stopnia pozbawione obaw, że dopiero przy bezpośrednim zbliżeniu się ludzi wyrażały pewien niepokój. W ten sposób dotarli do celu podróży. Teraz czekała ich ciężka praca. Polowanie na bizony i zajmowanie się przygotowaniem skór i mięsa do transportu. Przybysze rozbili szalas w cieniu niewielkiego zagajnika.



## ROZDZIAŁ VI

### WAKOJE

Carlosowi od razu sprzyjało szczęście. W ciągu dwóch pierwszych dni upolował blisko dwadzieścia bizonów. Razem z Antoniem ścigali bizony i szyli do nich z łuków. Zaś dwaj Indianie zdzierali ze zdobyczy skóry, dzielili zwierzęta na części i przenosili do obozu. Trzeci Indianin ciął cienkie pasy mięsa do suszenia na słońcu i przechowywania bez soli. Mięso bizonie, przygotowane w ten sposób, nazywa się tasajo i stanowi prawie jedyny pokarm wiejskich mieszkańców tych okolic. Jest też wprost rozchwytywane w miastach Nowego Meksyku, podobnie jak i skóra bizonów.

Polowanie rokowało wielkie zyski, lecz na trzeci dzień myśliwi zauważyli zmianę w zachowaniu się bizonów. Zwierzęta nagle stały się dzikie i strachliwe, wreszcie całe ich stada poczęły uciekać z wielką szybkością, jak gdyby ktoś je przestraszył lub gonił.

Carlos przyczyny tego zjawiska upatrywał w pojawieniu się w sąsiedztwie indiańskiego plemienia, które wybrało się na łowy. I rzeczywiście tak było. Bo oto gdy wszedł na wzgórze, panujące nad doliną, na brzegu jednego ze strumieni ujrzał obóz Indian, składający się co najmniej z pięćdziesięciu wigwamów. Zaledwie spojrzał na nie doświadczonego okiem, zawołał:

- To wigwamy Wakojów.

- Skąd pan wie? - spytał Antonio.

- Spójrz na wigwamy!

- A mnie się wydaje, że to obóz Komanczów - odparł Antonio. - Podobne namioty widziałem właśnie u ludzi tego plemienia, ponadto nazywają ich zjadaczami bizonów.

- Mylisz się, Antonio. Komańcze pale, których używają do budowy swoich wigwamów, związują na samym szczycie i całe pokrywają skórą. Ci zaś, zauważ, przy końcach pali, u góry, pozostawili otwór, aby umożliwić ujście dymu. W ten sposób powstał ścięty stożek.

- Ma pan rację - rzekł Metys po namyśle.

- Od małego przywykłem do życia na stepach. Wakoje nie są groźni. Nie mamy się czego bać. Na pewno zgodzą się na handel wymienny. Ale na razie nie widzę tam nikogo.

Rzeczywiście w obozie nie zauważyli ani mężczyzn, ani dzieci, ani kobiet. Lecz nie był to porzucony obóz: Indianie nie opuściliby wigwamów nie zdjawszy skór okrywających pale. Carlos domyślił się, że powinni znajdować się gdzieś w pobliżu, najprawdopodobniej wyruszyli na sąsiednią równinę w poszukiwaniu bizonów.

Mężczyźni podeszli do obozowiska Indian i kiedy je oglądali, rozległy się głośne okrzyki i na pobliskim wzgórzu ukazało się kilku jeźdźców. Jechali wolno, a zmęczone, spienione konie były dowodem długiej i uciążliwej podróży.

Druga, już nie tak liczna gromada, jechała w tyle za nimi. Składała się z koni i mułów, obładowanych wielkimi ciemnymi tobołami całymi ćwierciami bizonów, zawiniętych w ich własne kosmate skóry. Dozorowały ich kobiety i młodzież. Tuż za nimi podążały dzieci i psy.

Indianie od razu ze wzgórza zauważyli Carlosa i Antonia. Rozległy się głośne krzyki. Wojownicy, którzy już zeszli z koni, znowu wskoczyli na nie i przygotowali się do bitwy. Jedni pędzili w kilku kierunkach, wydając rozporządzenia do obrony, drudzy spieszyli na pomoc kobietom, aby zdobycz nie wpadła w ręce wrogów. Widocznie bali się napadu Pawnisów, swoich najgorszych wrogów. Carlos, aby ich uspokoić, spiął konia ostrogami, a ukazawszy się na wierzchołku wzgórza krzyknął z całej mocy, odpowiednio gestykulując:

- Przyjacieli!

Indianie uspokoiли się. Wysłali zaraz parlamentariusza, który rozmówił się z myśliwymi częściowo gestami, częściowo po hiszpańsku.

Wreszcie po porozumieniu się ze swoimi zaprosił Carlosa i Metysa do obozu.

Łowca chętnie przystał na to. Kiedy kobiety przygotowały pieczone, goście wzięli udział w uczcie razem z gospodarzami, z którymi od razu zaprzyjaźnili się. Jak się okazało, Indianie należeli do plemienia Wakojów, najbardziej szlachetnych i rozumnych ze wszystkich stepowych Indian. Wódz, widocznie korzystający z władzy nieograniczonej, okazywał gościowi szczerą sympatię, a następnie przyrzekł, że nazajutrz obejrzy towary i pozwoli swoim na handel wymienny.

Rzeczywiście, na drugi dzień z rana niewielka dolina, w której myśliwy rozbił swój namiot, wypełniła się mężczyznami, kobietami i dziećmi. Rozpoczął się żywy handel, tak że po odejściu Indian nic nie pozostało w namiotach. Ale za to Carlos stał się właścicielem stada mułów, składającego się z trzydziestu sztuk, które przywiązał do palików wbitych w ziemię. Kosztowały go one osiem uncji złota, a więc nadzwyczaj mało. Prócz tego otrzymał kilka wyprawionych skór, za które oddał wszystkie świecidełka, a nawet guziki, jakie miał na sobie i jakie mieli przy kurtkach jego robotnicy.

Od tej chwili przyszłość poczęła mu się jawić w różowych barwach. Każdy muł z łatwością uniesie ogromny ładunek skór i mięsa, które Carlos sprzeda z dużym zyskiem. Dolczywszy do tego zawartość trzech wozów, całość oszacował na co najmniej sto dolarów. I to będzie podstawą jego przyszłości.

## ROZDZIAŁ VII

### TRWOGA

Tej nocy Carlos zasnął mocnym snem ukołysany cudownymi marzeniami. Antonio jednak nie mógł zasnąć. Długo przewracał się z boku na bok na swym pościeliu, gdy nagle usłyszał parskanie muła. Zaczął nadśluchiwać. Wszystkie muły zachowywały się niespokojnie, jakby czegoś się lękając.

Co to znaczy? - pomyślał. - Koniecznie trzeba zbudzić pana. Carlos natychmiast się zerwał i chwycił za karabin, którego używał w krytycznych chwilach. Obudził pozostałych mężczyzn. Wozy były ustawione w trójkąt, aby ich wysokie budy mogły uchronić myśliwych od strzał i służyć za barykadę. Obóz osłaniały gęste drzewa morwowe. Mimo nocy mogliby przeniknąć wzrokiem rozciągający się przed nimi step, ale rosnące grupami drzewa utrudniały myśliwym orientację. Milcząc natężyli słuch i nagle zauważyli, że od strony, gdzie stały muły, pełźnie po trawie jakaś postać.

- Co to? - szepnął z przejęciem Carlos. - Ki czort! - dodał.

Przestraszy nam muły.

W tym momencie muły zachrapały i poczęły bić kopytami w ziemię. Wtedy Carlos nie wytrzymał i wypalił ze swego karabinu. Strzał ten jakby wywołał z piekła wszystkie demony. Setki głosów zlały się w jeden okrzyk, setki kopyt końskich zatętniły po stepie. Muły ogarnął paniczny strach, który Meksykanie nazywają ostampada.

Rozerwawszy więzy rozbiegły się po dolinie wydając dzikie ryki. Za nimi sunęły ciemne postacie. Zniknęli i ludzie, i zwierzęta, zanim Carlos przyszedł do siebie ze zdumienia. W taborze nie pozostał ani jeden muł.

- Jestem zrujnowany - rzekł zgnębionym głosem łowca.

Niech będą przekłęci ci podstępni Indianie.

Był przekonany, że to sprawa Wakojów, tych samych, którzy sprzedali mu muły. Już obmyślał zemstę, zamierzał szukać pomocy u plemienia wrogiego Wakojom, by wraz z nim napaść na fałszywców i odebrać swoje. Przecież nie mógł wrócić do domu z pustymi rękami. Naraziłby siebie na śmiech i drwiny, matkę i siostrę na ubóstwo.

- Smutny mój los, ale zemsta będzie słodka! - dodał.

- Panie - zwrócił się doń Metys - czy pan może zauważył pewną osobliwą rzecz?

- Jaką?

- Zdawało mi się, że podczas porywania mułów większość Indian była pieszko.

- Rzeczywiście, masz rację.

- Widziałem nieraz stada, które gnali Komańcze, i zawsze byli na koniach.

- A czegoż to dowodzi? Przecież podejrzewamy Wakojów, nie Komanczów.

- Słusznie, lecz słyszałem, że Wakoje, tak samo jak i Komańcze, nigdy nie udają się na wyprawę pieszo.

- Ciekawe. Twoja uwaga zasługuje na rozważenie.

- A czy żaden inny szczegół nie uderzył pana?

- Za bardzo byłem przerażony stratą, aby robić spostrzeżenia.

Ale widzę, że coś więcej cię zastanowiło.

- Tak. Otóż doleciał mnie też przeraźliwy świst wśród tego ogólnego hałasu, spowodowanego najściem Indian.

- Naprawdę? Jesteś tego pewny, Antonio?

- W zupełności. Słyszałem go kilkakrotnie z całą wyrazistością.

Carlos zamyślił się.

- Możliwe - szepnął. - A zatem... To powinni być Pawnisowie - dodał stanowczo.

- Ja tak samo myślę, panie. Komańcze, Kiowa i Wakoje nie wydają świstu, tego sygnału używają tylko Pawnisowie, więc ich powinniśmy uważać za grabieżców naszego mienia. Podejrzenie to potwierdza okoliczność, że prawie wszyscy byli pieszo, a zaledwie kilku na koniach.

Metys miał rację. Pawnisowie mają zwyczaj wyruszać pieszo w nadziei, że wrócą z dostateczną liczbą koni, i rzadko kiedy nie spełnia-ją się ich przypuszczenia.

Pierwsze blaski świtu poczęły srebrzyć step, gdy przenikliwy wzrok Antonia zatrzymał się na nieokreślonej masie leżącej na palach, do których przywiązane były muły. Nie można było rozróżnić, czy to leży bizon, wilk czy też jakieś inne zwierzę. W obawie przed nowym napadem Indian długo nie odważyli się wyjść z osłoniętego taboru.

Wreszcie ciekawość przemogła. Przeskoczywszy przez wóz, skierowali się do tamtego miejsca i niebawem zobaczyli Indianina. Nie żył. Leżał na trawie twarzą do ziemi. W jego boku widoczna była duża rana, z której sączyła się struga krwi. Myśliwi odwrócili trupa na plecy.

Był w stroju wojennym, czyli obnażony do pasa, tors i twarz miał pomalowane na czerwony kolor. Ich uwagę zwróciła głowa Indianina. Na skroniach i za uszami miał wygolone włosy, wyżej krótko ostrzyżone, ze środka zaś zwieszał się długi warkocz przeplatany piórami, który na podobieństwo ogona spadał mu aż na plecy.

- Tak, to Pawnis! Nie ulega wątpliwości! Wróg Wakojów. Moim przyjaciółom grozi niebezpieczeństwo! - zawołał Carlos. - Za późno, aby ich ostrzec. Mimo to zobaczymy, co się tam dzieje.

## ROZDZIAŁ VIII

### WALKA

Jeszcze się całkiem nie rozwidniło, gdy Carlos puścił się w drogę. Znał ją doskonale i nie bał się, że zabłądzi. Posuwał się z wielką ostrożnością uważnie badając kępy drzew, zanim do nich podjechał. I nie zbliżył się do wzgórza, dopóki nie obejrzał starannie pochyłości, która się przed nim otwierała. Ostrożność ta nie była przesadzona, gdyż Pawnisowie mogli być zupełnie niedaleko. Młodzieniec nie lękał się kilku Indian. Sądził, że mając broń i konia łatwo dałby im radę. Obawiał się jednak zasadzki lub otoczenia i schwytania przez większą grupę.

Z krzaków dolatywały krzyki sarny, szczekanie bobaka stepowego, w trawie, na piaszczystych wzgórzach odzywał się głuszec głosem podobnym do uderzeń bębna, na gałęziach dębu gulgotała dzika indyczka. W innych okolicznościach Carlos nie zwracałby uwagi na te dźwięki, lecz teraz wiedząc, że można je naśladować, starał się wsłuchiwać w nie ze szczególnym wyczuleniem. Ślady nocnego po-chodu Indian, jakie dostrzegł po drodze, dowodziły znacznej ich liczby. Trzymając się brzegu strumienia, spotykał też gdzieś odciski mokasynów, lecz przeważna część Pawnisów dzięki porwaniu mułów jechała wierzchem.

Myśliwy podwoił czujność. Znajdował się w połowie drogi od obozu Wakojów i tropy Pawnisów prowadziły wyraźnie w tym, który on obrał, kierunku. Wtem doleciał Carlosa daleki zgiełk. Niebawem rozróżnił w nim triumfalny śpiew, krzyki wściekłości, wycia, jęki, świsty - wszystkie te odgłosy zlewały się w jeden straszny odgłos walki. Chłopak spiął konia ostrogą i pędem wjechał na wzgórze, po czym z chciwością wpił oczy w dolinę. Przed nim wrzał bezpardonowy bój. Ogromna gromada jeźdźców walczyła na równi-nie. Patrzył jak zahipnotyzowany na okrutne zmagania przeciwników. Jedni wypuszczali strzały, drudzy bili się kopiami lub z tomahawkami rzucali się w bój ręczny. Tutaj całe grupy pędziły do natarcia, tam zawracały konie, nie mogąc wytrzymać nacisku. Ówdzie walczone pieszo, szukano osłony w krzakach, skąd wychylano się niebawem, aby szyć z łuków lub z tyłu napaść na wroga.

Nie było trąb ani bębnow, które by podniecały walczących, nie grzmiały działa, salwy nie wstrząsały powietrzem, kule nie świstały wśród kłębow szarego dymu. Niemniej nikt by nie uznał tej walki za turniej lub manewry. To wrzał prawdziwy bój, nieubłagany w swej grozie. Siekiery i kopie obryzgane były krwią. Tu i tam wschodzące słońce rozbłyskiwało na czerwonych, oskalpowanych głowach. Rozkazy wodzów, krzyki triumfu i bólu łączyły się ze rzeniem koni, które, przeważnie bez jeźdźców, galopowały po równinie jak szalone. Carlos już zamierzał rzucić się w wir walki. Zgiełk bitwy roznamiętniał go, a widok rozbójników, którzy go ograbili, rozbudził

w nim żądę zemsty. Wielu Pawnisów walczyło na jego własnych skradzionych mułach. Lecz w tej samej chwili napastnicy poczęli odstępować, wielu z nich rozpiezchło się w różne strony. Trzech co koń wyskoczy pędziło w kierunku Carlosa. Ścigało ich dwóch Wakojów na koniach. Nagle Pawnisowie zatrzymali się i przyjęli walkę.

Jeden z Wakojów padł niebawem, a drugi, w którym Carlos rozpoznał wodza, znalazł się wobec trzech wrogów. Łowca chwycił za karabin i nacisnął spust. Rozległ się donośny wystrzał i jeden z Pawnisów padł na ziemię. Dwaj pozostali za bardzo byli zajęci walką, aby zajmować się zagadkowym strzałem, i nie przestawali następować na wroga. Wódz Wakojów skierował konia na jednego z napastników i silnym uderzeniem tomahawka rozwalił mu czerep, lecz w tej samej chwili drugi Pawnis podbiegł z boku i przebił mu plecy długą kopią. Szlachetny wódz wydawszy okrzyk ciężko zwałił się martwy na ziemię, a Pawnis, trafiony strzałą, padł obok swej ofiary nie wypuszczając z ręki śmiercionośnej kopii.

Widząc, że już nie pomoże wodzowi, Carlos rzucił się w zgiełk bitwy, która wrzała jeszcze w drugim końcu równiny, i dopiero po dłuższej gonitwie wrócił w dawne miejsce. Został pole walki opustoszałe. Ale doleciał go zawodzący śpiew stamtąd, gdzie leżał zabity wódz plemienia. Podążył w tamtym kierunku. A gdy się zbliżył, dostrzegł koło, które uformowało się przy ciele wodza. Łowca zsiadł z konia i podszedł do Indian. Wakoje ujrawszy go ściskali po przyjacielsku jego dłoni, dziękując w ten sposób za pomoc w bitwie.

Gdy zebrali się wszyscy, jeden z wojowników stanąwszy pośrodku koła poprosił o głos. A gdy zaległa cisza, zaczął:

- Wakoje! Nasze serca przepełnione są smutkiem, chociaż mamy też powód do radości. Nasze zwycięstwo zatruwa ogromne nieszczęście. Straciliśmy naszego ojca, naszego brata, naszego wielkiego wodza, którego tak kochaliśmy. Nasz wódz legł w tej minucie, gdy jego potężna prawica zadawała wrogowi cios. Zasmucone są serca jego wojowników i wieczny będzie żal jego narodu. Wakoje! Wódz nasz nie zginął bez pomsty. Patrzcie! U jego stóp pławi się we krwi zabójca przesyty strzałą. Kto z was zabił tego Pawnisa?

Mówca zamilkł w oczekiwaniu odpowiedzi, lecz nikt się nie odezwał.

- Wakoje! - ciągnął dalej Indianin - padł nasz umiłowany wódz i nasze serca przepełnia smutek, lecz jednocześnie szczęśliwi jesteśmy wiedząc, że nie umarł bez pomsty. Jego zabójca dotychczas zachował skalp. Kto z mężnych wojowników ma prawo do tego trofeum, niech przyjdzie i weźmie.

Mówca zamilkł i znów nikt nie odpowiedział na jego wezwanie.

Nie pojmując ani słowa z tej mowy, wyrażonej w języku Wakojów, Carlos domyślał się tylko, że chwałą zabitego wodza i mówią o jego wrogach.

- Bracia! - kontynuował mówca. - Bohaterowie są zazwyczaj skromni. Naszego umiłowanego wodza mógł pomścić tylko wielki wojownik. Niech się nie waha ujawnić. Może liczyć na wdzięczność Wakojów.

Nadal nikt nie zabierał głosu. Wtedy mówca dodał:

- Zgodnie ze zwyczajem obieramy wodza spośród najbardziej odważnych wojowników całego plemienia. Proponuję zrobić to natychmiast, na miejscu zroszonym krwią jego poprzednika, i zgłaszam kandydaturę tego, kto pomścił wodza.

I wskazał ręką na zabitego Pawnisa.

- Daję swój głos na mściciela - odezwał się jeden z wojowników.

- I ja swój - potwierdził drugi.

- My także! - zawołali gromko wszyscy obecni.

- Wobec tego trzeba uroczyście postanowić, że ten, do kogo należy prawo oskalpowania tego Pawnisa, będzie wodzem plemienia Wakojów.

- Zgoda! - krzyknęli wojownicy i każdy z mężczyzn przyłożył rękę do serca.

- Któż zatem z was jest wodzem Wakojów? Niech się objawi narodowi! - zawołał na koniec mówca.

## ROZDZIAŁ IX

### OBRANIE WODZA

W tej chwili wszystkim Indianom silniej zabiły serca. Carlos uczestniczył w tym wiecu nie rozumiejąc, o co chodzi Wakojom. Na szczęście jeden z jego sąsiadów mówił trochę po hiszpańsku i poinformował go o wszystkim. Łowca chciał już udzielić odpowiednich wyjaśnień, gdy jeden z mężczyzn zawołał głośno:

- Dlaczego mamy dłużej pozostawać w nieświadomości? Jeżeli skromność wiąże język wojownika, niech zamiast niego przemówi jego oręż. Wyjmiemy strzałę z ciała Pawnisa, powinna być oznaczona, i ona wskaże nam nazwisko tego, kto ją wypuścił.

- Tak - odpowiedział mówca. - Zbadajmy strzałę.

To rzekłszy wyrwał ją z trupa i pokazał obecnym. W tej chwili rozległ się okrzyk zdumienia: jej ostrze nie było kamienne jak u Indian, lecz żelazne! A wtedy oczy wszystkich zwróciły się na Carlosa.

To z jego łuku wypuszczona została śmiertelna strzała, on także zabił trzeciego Pawnisa, gdyż znaleziono na jego ciele ranę od broni palnej!

Człowiek o białej twarzy pomścił śmierć ich wodza! Wszyscy wiedzieli, ile mu zawdzięczają. Wystrzałem ze swego karabinu ostrzegł ich o pojawieniu się Pawnisów i jeżeli wrogowi nie udało się napaść na nich zniemacka, jemu to tylko zawdzięczają. Prócz tego walczył w ich szeregach i zabił wielu nieprzyjaciół.

Więc gdy Carlos przez tłumacza opowiedział im ze zwykłą sobie skromnością, jaki udział wziął w boju u boku wodza, spotkał się z jednogłośnym aplauzem. Młodzież z entuzjazmem właściwym temu wiekowi ścisła mu ręce wyrażając wdzięczność. Tłum owładnięty uczuciem przyjaźni głośnymi okrzykami wyrażał swój entuzjazm.

Mówca znów wyszedł na środek.

- Biały wojowniku! - rzekł. - Radziłem się starszyny swego ludu. Wie ona, ile ci zawdzięczamy. Tłumacz objaśnił ci cel obecnego zebrania. Przysięgliśmy, że mściciel naszego wodza zastąpi nam drogiego zmarłego. Nigdy byśmy nie przypuszczali, że to nasz biały brat będzie tym odważnym wojownikiem. Teraz wiemy o tym. Lecz czy tylko dlatego mamy się sprzeniewierzyć przysiędze? Nie, nigdy myśl podobna nie zaświtała nam w głowie. Przysięgliśmy to uroczyście i powtórzymy swoje przyrzeczenie.

- Zróbmy to! - zawołali wojownicy i jak za pierwszym razem każdy z nich przyłożył rękę do serca.



- Biały wojownik! - ciągnął mówca. - Znamy cię daleko lepiej, aniżeli myślisz. Opowiadali nam o tobie nasi sprzymierzeńcy Komańcze i sami słyszeliśmy też o Carlosie, łowcy bizonów. Wiemy, żeś wielki wojownik. Lecz wiadomo nam także, żeś w swojej ojczyźnie, wśród swego narodu jednym z ostatnich. Przebaczone nam tę otwartość, lecz czyż nie mówimy prawdy? Lekceważymy twoich współbraci, ponieważ są oni albo tyranami, albo niewolnikami. Gdyś do nas przybył, byliśmy ci radzi. I handlowaliśmy z tobą jak z przyjacielem. Teraz witamy cię jak brata i powiadamy: jeżeli nic cię nie wiąże z twoim narodem, ofiarujemy ci przewodzenie plemieniem, które nigdy nie będzie niewdzięczne. Żyj z nami i bądź naszym wodzem! - zakończył mówca.

- Bądź naszym wodzem! - powtarzali wojownicy i okrzyk ten jako echo przebiegł po zgromadzeniu.

Następnie wszyscy umilkli w oczekiwaniu odpowiedzi patrząc w skupieniu na Carlosa. Młody łowca zaniemówił ze zdumienia, nie wiedząc, co począć, jak postąpić. Propozycja zdawała mu się nęcąca.

Rzeczywiście w ojczyźnie znaczył nieco więcej niż niewolnik, u Wakojów byłby nieograniczonym władcą. Wakojów powszechnie uważano za naród odważny, rozumny i ludzki, o czym się zresztą sam przekonał. Mógł żyć wśród tych niecywilizowanych bliźnich szczęśliwie z matką i siostrą. Jednak w tej decydującej dlań chwili wspomnienie uroczystości w San Ildefonso stanęło przed nim jak żywe i podyktowało taką odpowiedź:

- Szlachetni wojownicy! - rozpoczął uroczyste. - Z całej duszy dziękuję wam za honor, który mi okazujecie. Odpowiem krótko, lecz szczerze. Macie rację, że w ojczyźnie jestem jednym z ostatnich jej obywateli. Lecz są serdeczne więzy, które mnie z nią łączą, i one wymagają mego powrotu. Wakoje! Powiedziałem, co o tym myślę.

- Nie mamy prawa - głos zabrał znów mówca - o waleczny cudzoziemcze, roztrząsać twoich postępów, jeżeli jednak nie chcesz być naszym wodzem, zostań przyjacielem. A teraz damy ci jeden dowód naszej wdzięczności. Nasz wróg pozbawił cię całego mienia, lecz myśmy je odebrali i będzie ci ono zwrócone. Prosimy, pozostań wśród nas kilka dni jako serdeczny gość. Czy zgadzasz się?

Wszyscy Indianie dołączyli swoje prośby do prośby mówcy, a Carlos chętnie przystał na to zaproszenie.

Wakoje szczerze ugościli młodzieńca. A żegnając się z Carlosem po tygodniu oddali mu pięćdziesiąt mułów obciążonych bawolimi skórą i suszonym mięsem. Ponadto, gdy siedział już na koniu, otrzymał woreczek z drogocennym darem - wypełniony błyszczącym złotym piaskiem. Było to złoto. Indianie obiecali mu następnym razem więcej jeszcze tego cudownego kruszcu.

## ROZDZIAŁ X

### MARZENIA

Przez całą drogę powrotną Carlos myślał o matce i siostrze, o radości, jakiej doznają na jego widok, nie spodziewając się go tak prędko w domu.

Do tego po takiej udanej wyprawie! Marzył, że kupi siostrze nową suknię z zagranicznego jedwabiu. Prócz tego sprawi dziewczynie mantylkę, atłasowe trzewiczki, a nawet pończochy, co było zbyt dla większości Meksykanek. Nie powstydzi się jej, gdy będzie oddawać jej rękę swemu druhowi, Juanowi. Matkę także otoczy dobrobytem. Zamiast gotowanej kukurydzy będzie jeść lepsze potrawy, pić herbatę, czekoladę i kawę.

Ich stary, niewygodny dom trzeba będzie rozebrać i postawić w tym miejscu nowy lub może zamienić ten na stajnię, a pod nową siedzibę wybrać inny plac. Sprzedaż mułów pozwoli mu nabyć duży kawał ziemi i urządzić się na nim wygodnie. Stanie się zamożnym osadnikiem, hodującym ogromne stada na wspaniałych pastwiskach. To poważniejsze zajęcie aniżeli łowy bizonów.

Postanowił, że jeszcze raz uda się na stepy, zobaczy z przyjaciółmi Wakojami, którzy obiecali mu więcej złotego piasku. Od tej wyprawy zależało urzeczywistnienie jego najśłodszych marzeń. Jeżeli Wakoje dotrzymają słowa, wystarczy jedna podróż na stepy i Carlos, łowca bizonów, będzie miał tyle złota ile don Ambrosio, właściciel kopalni. A wtedy...

Przecież ojciec Cataliny - myślał - kilka lat temu też był prostym poszukiwaczem złota, a mieszkając w naszym sąsiedztwie nigdy jej nie zabraniał bawić się ze mną. Mój ojciec był biedny, ale pochodził z dobrej rodziny i krew płynąca w moich żyłach jest równie czysta jak u hidalga\*. Gdy różnica majątku zniknie, don Ambrosio nie odmówi mi ręki swej córki.

Marzenia te ani na chwilę nie opuszczały Carlosa, odkąd wyjechał z koczowiska Indian. W miarę jednak zbliżania się do domu ogarniał go niepojęty smutek. Okolica, przez którą przejeżdżał, była złowrogo opustoszała.

Dziwne - pomyślał. - Na polach ani żywego ducha. Przecież nie jest późno: słońce nie zaszło jeszcze za góry. Gdzież się podzieli ludzie?! Oto świeże ślady koni. Tędy jechali ułani, lecz przed nimi nie kryliby się chyba w domach tutejsi mieszkańcy. Gdyby nie ślady, można by przypuszczać, że przyczyną tej pustki byli Apacze, lecz wiadomo, że gdy Indianie wyruszają ze swych siedzib z zamiarem napadu, komendant nie ośmiela się nosa wysunąć z fortecy. Tutaj działo się coś niepojętego. A może w San Ildefonso odbywa się jakaś uroczystość?

---

\* Hidalgo - szlachcic

- Antonio - zwrócił się do pomocnika. - Ty pamiętasz o wszystkich tutejszych świętach. Może dziś jest jedno z nich?

- Nie, panie - odparł Antonio. - Najwcześniejsze będzie za miesiąc.

- Więc dlaczego tu nikogo nie widać? Jak ci się zdaje? Może zjawili się w pobliżu Indianie?

- Raczej nie, panie. Gdzie są ułani, a widać ich ślady, tam nie ma Indian.

Carlos zrozumiał przytyk i począł się śmiać, że Antonio potwierdził jego sąd o ułanach. Lecz niepokój nie opuszczał go ani na chwilę. Niepojęta trwoga chwyciła go za serce, gdy podjechał do grupy zielonych dębów, od których biegła droga ku jego farmie. Machinalnie zatrzymał konia i patrzył otworzywszy usta ze zgrozy.

Bo choć rząd kaktusów przeszkadzał mu dojrzeć budynki, nad ich szczytami wznosił się do góry obłok dymu.

- Boże, coś się stało! - zawołał stłumionym głosem. - Pożar!

I spiąwszy konia ostrogami galopem pomknął naprzód. Pozostali mężczyźni podążyli w ślad za nim. Gdy Antonio dojechał do domu, od którego przepalonych ścian biło jeszcze gorąco, zastał Carlosa na ławce w pozycji półleżącej, z głową posepnie opuszczoną. Przybycie Metysa zmusiło go do podniesienia powiek. Jego oczy wyrażały głęboką rozpacz.

- O Boże! Matka! Siostra! Gdzie one są? - jęknął i zwałił się zemdlony na ławkę.

## ROZDZIAŁ XI

### OPOWIEŚĆ DON JUANA

Gdy się ocknął i otworzył oczy, ujrzał nad sobą pochylone oblicze Juana.

- Gdzie matka i siostra? - wyszeptał.

- Twoja matka jest u mnie - odparł przybyły, którego boleść równała się bolesti przyjaciela.

- A Rosita?

Juan milczał. Z jego oczu płynęły łzy. Spozrzegłszy, że druh nie mniej odeń potrzebuje pociechy, Carlos poczuł przypływ energii.

- Nic nie ukrywaj, Juanie. Muszę wiedzieć wszystko. Umarła?

- Nie, mam nadzieję, że żyje!

- Porwana - domyślił się Carlos.

- Tak - rzekł głucho Juan.

- Przez kogo?

- Przez Indian.

- Czy jesteś pewny, że zrobili to Indianie? - Przy tym pytaniu oczy łowcy błysnęły dziwnie twardo.

- Tak, jestem pewny. Widziałem, jak przejeżdżali. Twojej matce... nie grozi niebezpieczeństwo. Zemdlała od uderzenia tomahawka, ale teraz już jej lepiej. Czerwonoskórzy napadli też na moją farmę, zabrali mi bydło. Wraz z robotnikami zaryglowaliśmy się w domu gotowi do walki. Ale widząc naszą determinację odступili. A wtedy, niespokojny o los twojej rodziny, przybiegłem tu i zastałem dom w płomieniach, a twoją matkę zemdloną na ziemi. Rosita zniknęła. Boże mój, Boże! Moją Rositę porwano!

- Juanie! - zawołał Carlos mocnym głosem. - Jesteś moim przyjacielem, prawie bratem. Niebawem masz wejść do naszej rodziny. Widzę, że i ty rozpaczasz. Lecz nie pora na płacz! Powinniśmy obaj myśleć tylko o ratowaniu Rosity. Prędszej, do dzieła! Udziel mi jednak niezbędnych wyjaśnień, które by mogły pomóc nam w poszukiwaniach.

Juan opowiedział, co się zdarzyło i jak do tego doszło. Otóż parę dni temu rozniosły się w mieście i po całej dolinie wieści o ukazaniu się Indian. Zapewniano, że gromady Apaczów, Jutasów czy Komanczów pojawiły się w okolicy w uroczystym stroju wojennym. W każ-dej chwili oczekiwano ich najścia.

I rzeczywiście, już na drugi dzień Indianie napadli na pastuchów pilnujących stad na wzgórzu wznoszącym się nad miastem, pozabijali psy i wielką ilość bydła pognali do swych

niedostępnych schronisk w górach. Pasterze zdołali zbiec i twierdzili stanowczo, że rozpoznali plemię Jutasów.

Tego samego dnia Indianie dopuścili się jeszcze poważniejszej grabieży. O zmroku zeszli w dolinę przy ujściu rzek i zabrali ze sobą wielkie stado bydła. Przestraszeni osadnicy, za słabi, by się im przeciwstawić, czym prędzej zamknęli się na farmach. Całą okolicę ogarnął paniczny strach i choć nie odnotowano ani jednego zabójstwa czy napaści na domy, właściciele samotnych farm tej nocy uszli do miasta lub też do zabudowań większych farmerów. Tu zamykano się o zmroku i warta do świtu czuwała na tarasach.

I wtedy dzielność komendanta fortecy ukazała się z całą wyrazistością. Dowodząc osobiście wojskami przeczesywał sąsiednie równiny, a w poszukiwaniu sprawców zapędzał się aż do samych gór. Wszyscy podziwiali zapał Viscarry. Jakże inni byli jego poprzednicy, którzy zamiast walczyć z Indianami, ze strachu zamykali się w fortecy.

Siostra i matka Carlosa nie opuściły swego domu. Styl życia, które wiodły, nauczył je lekceważyć niebezpieczeństwo, z drugiej strony było mało prawdopodobne, aby Indianie napadli na nędzną chatę, mając do wyboru domy bogatych właścicieli ziemskich. Poza tym Carlos, handlując z różnymi plemionami, zaznajomił się ze wszystkimi prawie ich wodzami. Ci lubili go nie tylko za osobiste zalety, lecz i za pochodzenie, gdyż w tym czasie Anglosasi korzystali ze względów Indian.

Don Juan kilkakrotnie przychodził do kobiet i proponował, aby zamieszkały w jego domu, który dzięki dużej liczbie robotników mógł wytrzymać nawet regularne oblężenie, lecz stara matka Carlosa śmiała się tylko z jego obaw, a skromna Rosita uważała za rzecz nieprzyzwoitą znajdować się pod jednym dachem z narzeczoną.

Tak przeszły cztery dni. Zapadła noc. Skończywszy pracę, Rosita i matka przygotowywały się do snu, gdy pies Hektor z zawziętym ujadaniem rzucił się do drzwi. Były zamknięte, lecz staruszka, nie pytając nawet, kto to przyszedł, odsunęła zasuwkę. W tej chwili rozległ się straszny okrzyk wojenny Indian i ciężkie uderzenie tomahawka zważyło ją z nóg. Kilku pomalowanych Indian wpadło z dzikim wyciem do pokoju. Nie zważając na rozpaczliwą obronę Hektora, chwycili przerażoną dziewczynę, wynieśli ją na rękach i przywiązali do grzbietu muła. Następnie ogołociwszy izbę ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość, podpalili dom i pospieszenie uciekli. Ranny pies powłókł się za nimi.

Na drugi dzień oddział ułanów, którymi dowodził komendant, z hałasem przejechał ulicami miasta i udał się w pogoń za Indianami. Niestety i tym razem żołnierze wrócili z pustymi rękami i ze zwykłą odpowiedzią:

- Nie mogliśmy ich dogonić.

- Dzisiaj - kończył swą relację don Juan - oddział znowu podążył śladami napastników.

Ofiarowałem im swój udział z kilku-ma robotnikami, odmówiono mi.

- Viscarra ci odmówił?! - zawołał Carlos zrywając się na równe nogi.

- Tak, pod pozorem, że będziemy tylko przeszkadzali kawalerii.

Carlos ochłonął i rzekł:

- Dzisiaj, przyjacielu, już nic nie zrobimy. Prowadź mnie do matki. O świcie wyruszymy w drogę!

Staruszka zobaczywszy syna skinieniem głowy przywołała go do siebie. Utrata krwi osłabiła ją bardzo, ale dowiedziawszy się o zamiarze Carlosa, szepnęła mu na ucho:

- Idź po ich śladach, a one na pewno zaprowadzą cię do...

Ostatnie słowa staruszka wyrzekła jeszcze ciszej.

- Tak sądzisz?! - zawołał Carlos.

- Tak myślę, ale tylko ślady tam cię zaprowadzą.

- Bądź, mamó, spokojna. Niebawem dowiem się, jak rzeczy stoją.

- Przed odjazdem przyrzeknij mi, że zachowasz spokój i ostrożność.

- Nie bój się, mamó, o mnie i nie martw o Rositę.

- A jeżeli moje przypuszczenia są prawdziwe?

- Wkrótce się wszystko wyjaśni. A teraz żegnaj! Muszę się przy-gotować do drogi.

Zaledwie świt rozjaśnił wierzchołki okolicznych wzgórz, kilkunastu jeźdźców na dobrych koniach opuściło farmę pod wodzą Carlosa i don Juana. Za nimi biegł Hektor, który pokaleczony i zбитy wrócił bez swej pani do domu.

## ROZDZIAŁ XII

### W POGONI ZA PORWANĄ

W odległości pięciu mil od farmy don Juana droga rozchodziła się w dwu kierunkach. Jedna, z prawej strony, wiodła na południe i tędy w przeddzień wracał Carlos, druga, skręcająca w lewo, prowadziła prosto do brodu przez Pecos i nią właśnie podążali ułani. Ich ślady odbijały się tak wyraźnie, że można było po nich pędzić galopem. Lecz Carlos prawie nie zwracał uwagi na drogę bitą. Rozglądał się na wszystkie strony i nagle zatrzymał konia. Jego zainteresowanie wzbudziły ślady bydła, które ocenił na około pięćdziesiąt sztuk.

- Przechodziło dwa dni temu - rzekł do Juana.

- To moje bydło - odparł Juan. - Rzeczywiście porwali mi je dwa dni temu.

Jechali w dalszym ciągu zmierzając do rzeki Pecos. W pewnej

chwili Hektor, biegnący przed nimi, szybko skręcił na lewo. Przenikliwy wzrok Carlosa dostrzegł tam ślad, oddzielający się od oddziału ułanów. Don Juanowi wydało się dziwne, że pies skierował się w tę stronę za kilkoma śladami kopyt. Czyżby już raz przebywał tę drogę? Łowca zeskoczył z konia.

- Cztery konie i muł - objaśnił przyjaciela. - Dwa z nich mają podkute przednie nogi, pozostałe wraz z mułem nie są podkute. Na wszystkich koniach siedzieli jeźdźcy. Muł był objuczony i prowadzono go za lejce. Nie - poprawił się po bardziej uważnych oględzinach - muł nie był obładowany. Szli tędy wczoraj rano, zanim rosa wyschła. Czy pewien jesteś, że opuścili twój dom przed północą?

- Tak, bo zaledwie wybiła północ, przyprowadziłem twoją matkę do mnie.

- Jeszcze jedno pytanie: czy możesz chociaż w przybliżeniu określić liczbę Indian oblegających twą farmę?

- Byli ukryci za drzewami, lecz sądząc po głosach i liczbie śladów, mogło ich być trzech, czterech. Prawdopodobnie ci sami spalili twój dom.

- I ja tak myślę. Oto ich ślad!

- Czy rzeczywiście? - zdziwił się Juan, że Carlos tak szybko do tego doszedł.

- Zapewniam cię. I patrz, czy to nie dziwne? - Tu wskazał na psa, który szczekaniem okazywał najwyższą chęć pobiegnięcia po odnalezionym śladzie.

- Tak, to dziwne - odparł don Juan. - Hektor musiał już raz tutaj być.

- Przekonamy się o tym - rzekł Carlos. - Zobaczymy, dokąd dotarli nasi dzielni ułani w swych poszukiwaniach.

Gdy znaleźli się po drugiej stronie Pecos, obejrawszy brzeg, Car-los pocieszył przyjaciela:

- Masz dużą szansę odebrania swego stada.

- Jakim sposobem?

- Powinno być w pobliżu. Nie minęły dwadzieścia cztery godziny, jak stado przepравиło się przez Pecos w asyście czterech jeźdźców.

- Skąd wiesz o tym?

- Bydło pędzili ludzie siedzący na koniach, których ślady kopyt widzieliśmy tam - tu wskazał drogę, którą chciał prowadzić Hektor. - Na pewno znajdziemy stado u podnóża Sei - wyciągnął rękę w kierunku góry wznoszącej się na horyzoncie. - Jedźmy! To rzekłszy Carlos spiął konia ostrogami i poprowadził oddział za sobą.

Po godzinie jazdy dotarli do brzegu przepaści, wrzynającej się na podobieństwo zatoki w bok górzyściej równiny, i oczom ich przedstawił się niesamowity widok. Dno przepaści pokrywały wielkie chmary sępów. Setki tych ptaków siedziały też na skałach bądź unosiły się w powietrzu lub podskakiwały wysoko trzepocząc szerokimi skrzydłami. Prócz nich kujoty, zwykłe wilki i szare niedźwiedzie ucztowały razem, chwilami tylko waśniąc się między sobą, bo pożywienia dla wszystkich było w bród. W przepaści leżała cała masa zwierzęcych trupów, wśród których pasterze don Juana poznali jego byki.

- Domyślałem się tego, przyjacielu - rzekł Carlos. - Lecz sądziłem, że znajdę żywe byki. Cóż za łotrowski pomysł! Jak szczegółowo obmyślony plan! O, złoczyńcy, moja matka ma rację. To on!

- Kto? O kim mówisz? - zapytał zdziwiony Juan.

- Niebawem ci powiem. Niech ochłone. Poczekaj! Nie ma już żadnej tajemnicy, wiem wszystko! Powinienem był przewidzieć ten spisek po nienawiści, jaką ten łotr pałał ku mnie! Łajdak! Przyjaciele, jedźmy drugim śladem! - zawołał głośno. - Już wiem, dokąd nas zaprowadzi.

W odległości mili ślad nagle skręcił na prawo w kierunku miasta. Z ust Juana i robotników wyrwał się okrzyk zdziwienia. Tylko Carlos nie był tym zaskoczony. Oczekiwał tego. Wyglądał teraz strasznie. Jego oczy rzucały złowrogie błyski, zęby zwały się, ściśnięte wargi posiniały. Widocznie ważył się na coś rozpaczliwego, desperackiego. Gdy przeprawiali się przez strumień, jego czerwona glina przykleiła się do sierści Hektora.

- Patrzcie! - zawołał don Juan. - Pies po powrocie miał na sobie takie same plamy, zatem już raz przepływał ten strumień.

- Tak - odparł Carlos. - Wiem o tym, wiem wszystko! Dla mnie nie ma żadnej tajemnicy! Cierpliwości, mój przyjacielu, wszystko ci opowiem, ale najpierw chcę to dobrze przemyśleć.

Ślady czterech koni i muła nie prowadziły wprost do doliny, lecz po krawędzi wzgórz.



- Gospodarzu! - rzekł Antonio jadący obok Carlosa. - Te konie należały do Indian, o ile nie zostały skradzione przez dzikich. Sądząc z kształtu podków dwa z nich są własnością oficerów kawalerii.

Łowca pogrążony w zadumie nie odezwał się ani słowem. Gdy Antonio powtórzył swą uwagę, burknął:

- Czyżbyś mnie, Antonio, uważał za głupca lub ślepego?

Zmieszany Metys zawrócił do towarzyszy. Tymczasem ślady ciągle szły w kierunku miasta i wreszcie dowiodły mężczyzn do tego miejsca, gdzie kręta ścieżka spadała do doliny. To była ta sama droga, którą w dzień święta podążał Carlos, aby dostać się na szczyt Ninny Perdidy, i którą schodząc Roblado i Yiscarra poprzysięgli mu zemstę.

Zanim spuścili się z gór, łowca kazał zatrzymać się i z don Juanem udał się na ów cypel.

- Patrz! - rzucił przyjacielowi. - Widzisz tę budowlę?

- Fortecę?

- Tak!

- Widzę. I cóż stąd?

- Tam jest Rosita - oczy zaiskrzyły mu się wściekłością. Tam znajduje się sprawca tego wszystkiego. Nie można czekać dłużej. Teraz lub nigdy! Jeżeli wrócę, wydam szczegółowe polecenia. Na razie zbliżcie się ku warowni i ukryci w zaroślach pozostańcie tam do późnej nocy. Gdy nie wrócę, to znaczy, że zostałem aresztowany lub zabity. Lecz bądźcie dobrej myśli. Mam przy sobie złoto, a ono otwiera wszystkie drzwi. Żegnajcie, przyjaciele...

To rzekłszy Carlos puścił się ścieżką w dół, a Hektor towarzyszył mu wiernie.

## ROZDZIAŁ XIII

### NIEZBĘDNE WYJAŚNIENIA

W tym samym czasie po tarasie fortecy przechadzał się tam i z powrotem mężczyzna. Nie był to wartownik, gdyż dwu z nich czuwało w narożnikach budowli. Ich karabiny sterczały zza załomków warowni. Taras, po którym chodził oficer, należał do tych uprzywilejowanych miejsc, dokąd prości żołnierze rzadko mieli dostęp. Był to Yiscarra, pułkownik wojsk hiszpańskich i komendant warowni. Już na pierwszy rzut oka -nożna było zauważyć, że lubił elegancję i ozdoby. Co chwilę przystawał, aby podziwiać wspaniałe kolor swego uniformu, połysk lakierowanych butów i drogocenne pierścienie upiększające jego białe palce. Robił to jednak dzisiaj machinalnie, niejako z przyzwyczajenia. Prześladowała go pewna myśl, która przejmowała go raz po raz drżeniem trwogi.

W pewnym momencie pułkownik wzniosł oczy, a te, jakby przyciągane magnetyczną siłą, spoczęły na skale Ninny Perdidy. To nie był przypadek. Ten cypel jawił mu się we śnie, jego kontur towarzyszył mu za dnia. Nagle Yiscarra cofnął się odruchowo w tył, jakby uciekał przed strasznym widziadłem, i oparł się o balustradę. Twarz mu pobladła, zęby zaszczekały i pierś poczęła ciężko pracować.

- To on! - wyszeptał komendant w przestachu. - Taki sam, jakim go widziałem we śnie zeszłej nocy! Poznają go, poznają jego konia i nie mam odwagi patrzeć na niego. - Odwrócił się i zakrył twarz rękami. Gdy za chwilę, gdy się nieco uspokoił, spojrzął na skałę, jeźdźca nie było.

- Tak - rzekł stłumionym głosem - to było złudzenie, skutki sennego majaka. Teraz nie ma ani konia, ani jeźdźca. Carlos znajduje się przecież setki mil stąd.

I aby odegnać natrętne myśli, począł szybko chodzić po tarasie. Wtem na schodach rozległy się kroki i niebawem ukazał się kapitan Roblado. Pozdrowił komendanta.

- Dzień dobry! - odpowiedział pułkownik. - Jakże się pan czuje?

- Nie można lepiej! Dopiero co zjadłem śniadanie i zapaliwszy hawańskie cygaro wyszedłem na taras, aby skorzystać z pańskiego miłego towarzystwa.

- Czy już pan wypoczął?

- Jeszcze nie całkiem! Po takich wrzaskach chryпка minie mi pewno po tygodniu. Poza tym z trudem pozbyłem się tego straszne-go malowidła. Z drugiej strony czyż to nie przyjemna rozrywka ten domniemany napad Indian w naszym nudnym i monotonnym życiu garnizonowym? Czyż może być coś bardziej zabawnego, jak wydanie tych śmiesznych proklamacji dotyczących Indian? Czy słuchanie opowiadań o drapieżności Indian i pochwały niezwyklej gorliwości wojska?

Musi pan przyznać, pułkowniku, że pan, ja, kapral Gomez i żołnierz Jose odegraliśmy doskonale swoje role. Była to wspaniała zabawa i jednocześnie zemsta na tym nędznym pyszałku, który śmiał rzucić okiem na mą Catalinę. Ja mu pokażę „gachupina”... A tej starej wiedźmie „niewolników”. Żal mi tylko tylu sztuk zmarnowanego bydła! Lecz porwanie go było jedynym sposobem przekonania mieszkańców o napadzie Indian, a poza tym nauką dla tego młodego farmera, przez którego stracił pan tyle pieniędzy i najadł się pan takiego wstydu! Na honor, to był doskonały kawał! - kończył Roblado zanosząc się od śmiechu i puszczając dym z cygara. - Nie mamy się czego obawiać. Gdyby chodziło o kogoś innego, nie o starą wiedźmę i jej córkę, może by się znalazł ktoś, kto by zaczął szukać sprawców i dotarł do nas... Wreszcie, gdyby nawet wrócił sam Carlos...

- Roblado - przerwał mu komendant głuchym głosem. Dopiero teraz kapitan spojrzawszy na zwierzchnika dostrzegł jego nie-pokój. - Niech pan wymyśli jakiś sposób i odeśle jego siostrę z powrotem, cicho i bez skandalu. Obawiam się, że nie był to najlepszy pomysł. Miałem dziś sen, dziwny sen. Otóż znajdowałem się z Carlosem na szczycie Ninny Perdidy. On wiedział o wszystkim i zawiódł mnie tam, aby się zemścić za porwanie siostry. On i jego przyjaciele przyciągnęli mnie na skraj przepaści, a choć się rozpaczliwie broniłem, zepchnęli w dół. Leciałem, leciałem, leciałem. Na górze stał Carlos z siostrą i matką. Wstrętna starucha zanosila się od szalonego śmiechu i aby wyrazić swą ogromną radość, klaskała w wykrzywione dłonie. Nie przestawałem spadać, ale zanim dotknąłem we śnie ziemi, przebudziłem się zlany potem. No i niech pan powie, kapitanie, czy to nie straszny sen?

- Może, lecz to niczego nie dowodzi.

- Ale na tym jeszcze nie koniec. Nie dalej, jak przed kwadranssem, rozmyślając o dziwnym majaku, przypadkowo popatrzyłem na tę fatalną skałę. I wyobraź pan sobie, że na samym jej szczycie najwyraźniej stał jeździec podobny do łowcy bizonów. Poznałem jego konia. No i sylwetkę młodzieńca. Poczulem niedorzeczną trwożę, oderwałem na chwilę wzrok od zmory, a gdym znowu spojrział na skałę - jeźdźca nie było. Zniknął jak mara. Gotów znów byłem uwierzyć, iż znajduję się pod wpływem snu i że moja wyobraźnia stworzyła tę zjawę.

- Jeżeli, pułkowniku, rzeczywiście chce się pan pozbyć Rosity, nic nam nie pozostaje innego, jak znowu ucharakteryzować się na Indian, a że branka nie przyszła jeszcze do siebie, więc...

- Patrz pan! - krzyknął Viscarra, a jego oczy wyrażały strach, twarz mu pobladła, na czoło wystąpiły krople potu. Drżącą rękę wyciągnął ku drodze, która prowadziła do warowni.

Roblado, który znajdował się pośrodku tarasu, podszedł bliżej do balustrady i spojrzął we wskazanym kierunku. Zakryty obłokiem pyłu jeździec pędził co koń wyskoczy. A gdy się zbliżył, kapitan poznał go tak samo, jak wcześniej poznał go pułkownik.

To był Carlos.

## ROZDZIAŁ XIV PERTRAKTACJE

- Klnę się na Pannę Najświętszą, to on! - zawołał Roblado, nie mogąc przemóc niepokoju. - Fakt ten jest tak pewny, jak to, że żyję na świecie; to ten łotr Carlos!

- Wiedziałem o tym, wiedziałem! - przemówił Viscarra przełęczym głosem. - Widziałem go tam na wierzchołku skały, to nie było złudzenie.

- Lecz jakim sposobem tu się znalazł? Na Boga, jak to być może, przecież on...

- Roblado, zejść na dół. Nie mogę go przyjąć, nie jestem w nastroju.

- Panie pułkowniku, zachowajmy spokój. I lepiej z nim pomówić. O, już nas zobaczył. Jeśli zobaczy, że go pan unika, wzbudzić to może w nim podejrzenie. Jestem pewny, że przybywa, aby prosić nas o pomoc...

- Tak pan sądzi? - spytał uspokojony nieco Viscarra.

- Ależ naturalnie. I jeżeli pan spełni jego prośbę, będzie pana uważał za swego dobroczyńcę. Chęcią służenia mu zbijemy go zupełnie z pantałyku.

Komendantowi pomysł wydał się dobry. Postanowił pójść za radą kapitana. Zresztą nie było czasu na rozmyślania, gdyż jeździec już się zbliżył do warowni i zdjawszy kapelusz, kłaniał się oficerom. Wreszcie zatrzymał się kilkanaście kroków od nich.

- Słucham pana? - zagadnął grzecznie Roblado.

- Chciałbym pomówić z komendantem, panie kawalerze - od-parł przybyły.

Zdanie to wypowiedział tonem człowieka, który przyszedł prosić o grzeczność, i to wpłynęło uspokajająco na obu oficerów. Pomimo chępliwości w głębi duszy kapitan był niespokojny, toteż odetchnął przekonawszy się, że jego przypuszczenia sprawdziły się, bo łowca przyszedł prosić o pomoc.

- Słucham pana - powiedział Viscarra zbliżając się do Carlosa.

- Jaśnie wielmożny panie - przemówił pokornie myśliwy - przyszedłem prosić pana o pewną przysługę.

- A nie mówiłem? - szepnął z satysfakcją Roblado.

- Słucham, przyjacielu - rzekł pułkownik z pańska.

- Jaśnie wielmożny panie, przybyłem prosić o wielką łaskę, której, jak sądzę, nie odmówi mi pan. Niedawno okazał pan niezwykle zainteresowanie wypadkiem, którego stałem się ofiarą.

- Proszę o szczegóły!

- Jaśnie wielmożny panie, jestem biednym łowcą bizonów...

- Znam pana, nazywawsz się Carlos i na uroczystości San Juana wykazałeś się niezwykłą zręcznością w jeździe.

- Wielce pan łaskaw, pamiętając o mnie. Ale niestety, powodzenie w zawodach nie wyszło mi na dobre. Spotkało mnie nieszczęście!

- Co się stało?! - wykrzyknął teatralnie pułkownik.

Viscarra i Roblado celowo podnosili głos rozmawiając z łowcą chcąc, aby sens słów dotarł do przechadzających się koło bramy żołnierzy. Carlos poszedł w ich ślady robiąc to zupełnie świadomie i w sposób z góry zaplanowany. Pragnął, aby żołnierze, a szczególnie stojący przy wejściu wartownik, usłyszeli jego rozmowę ze zwierzchnikami.

- Otóż mieszkalem w biednej chacie ze starą matką i siostrą.

Dwa dni temu napadła na moją farmę szajka Indian. Ogluszyli matkę uderzeniem tomahawka, porwali siostrę, a dom spalili.

- Wiem o tym wszystkim, dlatego nawet puściłem się z moimi ludźmi w pogoń za tymi łotrami.

- Dowiedziałem się o tym po powrocie ze stepów. I jestem panu niezmiernie zobowiązany.

- Spełniłem tylko to, co do mnie należało. Prócz tego obiecuję, że gdy garnizon otrzyma pomoc, gotów jestem przedsięwziąć wyprawę na Indian, a wtedy może uda się nam odszukać pana siostrę.

Komendant, choć uspokoiło go nieco zachowanie przybysza, wykazywał pewne oznaki zdenerwowania, co nie uszło uwagi Carlosa, który znał prawdę.

- Czego pan jeszcze ode mnie oczekuje? - zapytał na koniec z dobrze udaną grzecznością Viscarra.

- Prosiłbym, jaśnie wielmożny panie, aby żołnierze natychmiast udali się w pościg za Indianami pod pańskim osobistym przewodem, co byłoby dla mnie wielkim honorem, lub też pod dowództwem jednego z pańskich męźnych oficerów.

Roblado gotów był ukłonem podziękować za komplement.

- Jeżeli zgodzi się pan wysiać oddział, ja ze swej strony zobowiązuję się naprowadzić go na napastników. Odnajdę ich ślady, gdziekolwiek by byli, i zawiodę pana do siedziby zbirów.

- Naprawdę? - spytał Viscarra, zamieniwszy porozumiewawcze spojrzenie z kapitanem.

- Tak, jaśnie wielmożny panie! Proszę mi zaufać.

Twarze obu oficerów wyrażały niezdecydowanie i pewien niepokój. Przeprosiwszy Carlosa odeszli na stronę, aby się naradzić.

- Ja bym się zgodził - szepnął kapitan. - Taki postępek sprawi jak najlepsze wrażenie.

- Lecz czy to rozsądnie brać go za przewodnika? Może odszukać nasze ślady i odnaleźć bydło...

- Nie jesteśmy zobowiązani na ślepo spełniać jego życzeń. Powierz mi pan dowództwo. Jeżeli zaproponuje, abym szedł po tam-tych śladach, mogę postawić swoje veto. A co do Indian zapewniam pana, że nie jestem od tego, aby się z nimi trochę pobić, a nawet oskalpować kilku z nich. Tego rodzaju trofea przydałyby się bardzo naszej warowni, bo dobrze świadczyłyby o czujności żołnierzy.

- Zgoda. Kiedy się pan wybierze?

- Im prędzej, tym lepiej. Pośpiech wykaże naszą determinację i uspokoi obywateli.

- W takim razie daj pan polecenie kapralowi, a ja pójdę i uszczęśliwię petenta wyrażeniem zgody.

Roblado zszedł z tarasu i za chwilę trąby dały sygnał siodłania koni.

## ROZDZIAŁ XV

### KATASTROFA

Podczas narady oficerów Carlos stał nieruchomo u wrót wartowni i czekał cierpliwie na odpowiedź. Przy bramie kręciło się około czterdziestu żołnierzy. Gdy rozległ się głos trąbki, wszyscy poszli do stajni, a u wejścia pozostał tylko jeden wartownik. Przedostanie się do twierdzy, rozmowa w cztery oczy z komendantem w celu uzyskania stosownych objaśnień, a nawet zmuszenia go do działania, stały się wobec tego coraz to łatwiejsze. Gdyby jednak Yiscarra przyjął dowództwo nad oddziałem, zupełnie pomieszałyby szyki łowcy.

Trąbka dała sygnał do wymarszu. Jednocześnie na tarasie ukazała się znajoma sylwetka pułkownika. Wyszedł z miną człowieka, który okazuje petentowi wielką łaskę, który ma mu do zakomunikowania przyjemną nowinę. Promień szczęścia przebiegł przez oblicze Carlosa. Nareszcie komendant zostanie na tarasie sam!

- Wielce pan łaskaw, spełniając prośbę takiego mizernego farmera jak ja! Brak mi słów dla wyrażenia swej wdzięczności.

- Spełniam tylko swą powinność, młodzieńcze. Proszę zaczekać, kapitan Roblado zaraz ruszy z oddziałem.

To rzekłszy dał znak ręką, gestem pełnym dostojeństwa, oznaczającym zarazem koniec audiencji, i odszedł od balustrady.

Carlos nie miał do stracenia ani minuty. Wymacał schowany karabin, którego kolba dotykała strzemięcia, zaś lufa przylegała do boku. Skórznie i płaszcz zarzucony na plecy ukrywały przed niepowołanym okiem to śmiercionośne narzędzie. Pod lewą połą płaszcz tkwił też nóż myśliwski. Gdy tylko komendant odszedł w głąb tarasu, łowca cicho zsunął się z siodła, lejce omotał koło łęku wiedząc, że doskonale wytresowany mustang będzie cierpliwie czekał w tym miejscu na swego pana. Przysunąwszy pod płaszczem jak można najbliżej do nogi lufę karabinu, Carlos zbliżył się do bramy.

Na warcie stał żołnierz, który dopiero co z nudów przysłuchiwał się rozmowie przybysza z komendantem i nie podejrzewał go o złe zamiary. Toteż gdy Carlos na wszelki wypadek uznał za stosowne wyjaśnić:

- Komendant prosił, abym do niego przyszedł – przepuścił łowcę.

Z bramy jedne schody prowadziły na taras i były przeznaczone dla żołnierzy, których wzywały tam obowiązki służbowe. Drugie drzwi, dla oficerów, znajdowały się po przeciwległej stronie. Carlos ze zwinnością kota wbiegł na stopnie pierwszych schodów. Jego mokasyny stapały



tak cicho, że gdy wszedł na górę, Yiscarra nawet się nie zorientował. Mógł zniemacka zastrzelić pułkownika, ale ta myśl przemknęła mu przez głowę tylko na krótką chwilę. Rozwaga radziła mu użyć noża jako broni niemej, uderzenie której nie zwróci niczyjej uwagi i nie zniweczy szansy na ucieczkę.

Postawił więc w rogu balustrady karabin i wyciągnął nóż. Lekki stuk lufy o kamień zwrócił uwagę komendanta. Drgnął ujrzawszy Carlosa. Na widok nagłej zmiany, jaka zaszła w wyglądzie i pozie pełnego pokory petenta, zaniepokoił się.

- Kto panu pozwolił tu wejść?

- Ciszej, pułkowniku, ciszej! Nie jestem głuchy - odparł twardo Carlos.

Ton głosu, a przede wszystkim widok noża, który łowca mocno ścisnął w rękę, niemal ściął z nóg komendanta. Yiscarra zsiniał pojawiając się, że dał się głupio podejść, że Carlos rozpoznał ślady, odkrył podstęp i przyszedł, aby się zemścić lub żądać zadośćuczynienia. Koszmar senny stanął mu przed oczyma z całą wyrazistością, tym straszniejszy, że już prawie rzeczywisty, namacalny. Nie był w stanie wyrzec słowa. Rozejrzał się niespokojnie dokoła w nadziei jakiegoś ratunku. Ale, niestety, był oddzielony odległością od swoich żołnierzy, otoczony ścianami, znajdował się zaś oko w oko z gotowym na wszystko wrogiem. Chciał krzyknąć, lecz czuł, że byłby to jego ostatni krzyk.

- Czego pan żąda? - spytał wreszcie.

- Oddania siostry.

- Jej tu nie ma...

- Łżesz, ona jest tutaj! Nasz pies wyje pod bramą, a to dla mnie najlepszy dowód.

- Zapewniam, że nic o tym nie wiem. Niech mi pan wierzy.

- Mnie pan nie oszuka. Szedłem waszymi śladami. Na nic się nie zdała cała ta szelmowska przebiegłość. Przejrzałem was. Mów, gdzie Rosita? W przeciwnym razie ten nóż wbiję ci w serce po rękojeść.

- Ona... ona... Klnę się, że nic jej się nie stało – wydukał pułkownik.

- Łotrze, chodź tutaj! - warknął Carlos. I wskazał miejsce, z którego widać było część dziedzińca. Wiedząc, że od posłuszeństwa zależy jego życie, komendant podszedł. - Teraz każ ją tu przyprowadzić. Tylko spokojnie i bez żadnych sztuczek, słyszysz? Jeśli jednym słowem lub gestem spróbujesz przywołać wartownika, zginąłeś.

- Mój Boże! Mój Boże! Jeżeli to się rozniesie po okolicy, jestem zgubiony... - jęczał komendant. - Trochę cierpliwości, a siostra zostanie zwrócona jeszcze dzisiaj wieczorem.

- Zwrócisz mi ją natychmiast! Rozkaż, niech ją oswobodzą i przyprowadzą tutaj. Prędszej! Jeszcze minuta zwłoki, a nie odpowiadam za siebie.

- O Boże! Pan mi grozi... Ach!

Okrzyk ten zabrzmiał zupełnie inaczej aniżeli poprzedzające go słowa. Był okrzykiem tryumfu i radości. Komendant stał zwrócony do schodów, którymi wszedł łowca, a ten ostatni patrzył w stronę przeciwną i nie zauważył, że na tarasie pojawił się trzeci mężczyzna. Nagle poczuł, że ktoś mocno złapał go za rękę, w której trzymał nóż. Wyrwawszy ją energicznym ruchem Carlos szybko odwrócił się i stanął oko w oko z oficerem, w którym poznał porucznika Garcję.

- Nie mam nic przeciwko panu - zawołał łowca, ale Garcia bez słowa odwiódł kurek pistoletu i wycelował w głowę Carlosa. Ten rzucił się na porucznika. W tej samej sekundzie huknął strzał i dym zasłonił na chwilę obu przeciwników. Porucznik ciężko padł na ziemię, Carlos, zdrow i cały, rzucił się w to miejsce, gdzie zostawił komendanta.

Lecz pułkownik znajdował się już na drugim końcu tarasu i zbliżał do oficerskich schodów. Carlos pojął, że nie zapobiegnie jego ucieczce, tym bardziej że strzał zaalarmował resztę załogi. Rozpacz nim owładnęła, lecz tylko na sekundę. Przypomniał sobie, że ma karabin. Chwytał go i wycelował. Pułkownik już zszedł do połowy schodów. Odwrócił się jeszcze ciekaw, czym skończy się walka porucznika, gdy w tej samej chwili huknął strzał z karabinu i Yiscarra potoczył się po schodach.

Na odgłos strzałów ze wszech stron zbiegli się żołnierze. Jedni rzucili się, by ratować komendanta, drudzy skierowali się na taras ku Carlosowi. Młodzieniec przeskoczył trupa porucznika i zamierzał uciekać drugimi schodami, gdy usłyszał tam dudniące kroki żołnierzy. Odwrot miał odcięty. Podbiegł ku balustradzie i stanąwszy na niej spojrzął na dół. Ściana warowni była wysoka, ale tylko ta droga ucieczki mu pozostała. Ułani już wbiegali na taras z lancami i karabinami. Nie wahał się, tym bardziej że nie opodał zobaczyć swego mustanga. Ten widok pchnął go do czynu. Skoczył na parapet, a stamtąd na ziemię porosłą gęstą trawą. Znalazłszy się w ten sposób poza warownią, głośno zagwizdał. Na to wołanie przybiegł natychmiast koń. Łowca wskoczył nań i zniknął z oczu żołnierzy. Rozległo się za nim kilka strzałów, jeźdźcy rzucili się w pościg, lecz zanim zdążyli wyjechać za bramę, zbieg dosięgnął zarośli i przepadł między gęstymi krzakami. Oddział ułanów, pod wodzą Roblada i Gomeza, pomknął galopem w tamtą stronę. Gdy żołnierze zbliżyli się do zarośli, kilkadziesiąt głów wychyliło się zza krzaków i prześladowców powitały dzikie okrzyki Indian.

- Indianie! - zawołali jeźdźcy przejęci strachem. Jedni zatrzymali się, drudzy zawrócili, ale Roblado zakomenderował:

- Stój! - i postanowił czekać na posiłki.

Kiedy przybył cały garnizon, żołnierze przeczesali zarośla, lecz nie natknęli się na Indian, chociaż ich konie pozostawiły wyraźne ślady na wszystkich ścieżkach. Po kilku godzinach daremnych poszukiwań Roblado wrócił wściekły do warowni.

## ROZDZIAŁ XVI

### UWOLNIENIE ROSITY

Powrót kapitana uspokoił nieco rannego pułkownika, który jęczał na posłaniu. Twarz miał okrwawioną i szczękę draśniętą kulą. Utraciwszy kilka zębów, mówił z trudnością. Jego rana nie zagrażała życiu, niemniej poważnie osłabiła go. Rozmowa naturalnie zaczęła się od sprawozdania z ekspedycji i skutkach, jakie mogą wyniknąć z tej napaści.

- I pan poważnie twierdzi - wypytywał pułkownik - że Carlos stanął na czele Indian?

- Z początku dałem się zasugerować relacjom żołnierzy, którzy święcie w to wierzą. Teraz jednak uważam, że to nie byli „dzicy” czerwonoskórzy, lecz kilku przyjaciół Tagnosów. Carlosa łączą podejrzane stosunki z różnymi indywiduami. Za to od dawna należało go uwięzić. Ale teraz nie ma potrzeby szukać pretekstu, schwytały go przy pierwszej lepszej okazji. Zwykle powieszenie byłoby tu za lekką karą. Po pojmaniu należy mu wymierzyć taką karę, która by na długo stała się przestrogą i postrachem dla innych.

- Co pan teraz zamierza robić? Do pana należy decyzja.

- Podążać po jego śladach. Nie sądzę, aby mógł ujść daleko.

Pchnę posłańców do wszystkich osad, aby go aresztowali, gdyby się zjawił. Wątpię jednak, czy tam go znajdą.

- Dlaczego?

- Bo żyje jeszcze ta stara wiedźma, jego matka. Prócz tego będzie się kręcił wokół San Ildefonso dopóty, dopóki będzie miał najmniejszą choćby nadzieję na oswobodzenie siostry.

- Ma pan rację, nie zostawi mnie w spokoju...

- Tym lepiej, drogi pułkowniku. Będziemy mieli więcej szans, aby go schwytać, co nie jest wcale łatwe. Jest ostrożniejszy od wilka, a jego wspaniały koń nie obawia się pościgu naszej kawalerii. Trzeba go złapać z pomocą jakiegoś podstępny. Mam pomysł.

- Tak? Jaki?

- Od czasu do czasu będzie odwiedzał starą, to pewne, lecz myślę, że będzie zabiegał o to przede wszystkim, aby uwolnić Rositę.

- Tak pan sądzi? - spytał Viscarra, z trudem artykułując słowa.

- Mówią, że nad życie kocha siostrę. Gdyby znajdowała się w dostępniejszym miejscu, ręczę, że zjawiłby się po nią, a wtedy łatwo można by go schwytać.

- Tylko gdzie znaleźć takie miejsce? - żywo zapytał pułkownik.

- Najlepiej w pobliżu spalonej chaty...

- Wywieźcie ją więc. Przyznam się szczerze, że jej obecność tu nie daje mi chwili spokoju. Gdyby się w końcu dowiedziano, z jakiego powodu Carlos podniósł na mnie rękę, wieść ta dotarłaby wyżej. Złożono by na mnie skargę, wyznaczono śledztwo i po karierze. Muszę być czysty. Trzeba koniecznie odwrócić ode mnie wszelkie podejrzenia.

- Ma pan rację. Szczególnie po tym nieszczęsnym wypadku z Garcią. Wiadomość o jego śmierci może się rozejść i pytają nas o przyczynę zgonu. Musimy wymyślić jakąś historyjkę, sfabrykować zadowalające wyjaśnienia, które by rozproszyły jakiegokolwiek wątpliwości i nie dopuściły do poszukiwań. A przede wszystkim dziewczyna powinna stąd zniknąć.

- Lecz jak to zrobić? Jak ją zwolnić nie budząc podejrzeń? Jeżeli odeślemy ją do matki, to czym wytłumaczymy fakt przetrzymania jej? Przecież wtedy porwania nie będzie można zwać na karb Indian. I ta jej nagła utrata zmysłów. Doprawdy nie podoba mi się to wszystko. Co pan radzi?

- Chciałbym się najpierw, pułkowniku, upewnić, czy rzeczywiście można mówić o jej obłądzeniu? Skąd pan o tym wie?

- Od Josego. Otóż powiedział mi, że przestraszona nagłym napadem wpadła w obłądzenie. Nie pojmuję, co się wokół niej dzieje. Belkoce niezrozumiałe słowa...

- A więc dziewczyna nie rozumie tego, co się do niej mówi? Czy tak?! - wykrzyknął kapitan.

- Mogę przysiąc.

- Świetnie. Tym lepiej. Teraz coś panu zaproponuję. Nie ma nic łatwiejszego niż pozbycie się jej. Będzie opowiadała, jeżeli zdolna jest do opowiadania czegokolwiek, że znajdowała się w niewoli u Indian. Czy aprobuję pan mój pomysł?

- W zupełności, lecz jak to zrobić?

- Bardzo prostym sposobem. Jeszcze dziś wieczorem lub jutro o świcie Gomez i Jose przebrawszy się w stroje Indian odwiozą ją w góry we wskazane przeze mnie miejsce. Z rana okoliczni ludzie ujrzą ją skępowaną w rękach rzekomych Indian jako branke. A jeśli dotrze to do jej świadomości, tym lepiej. Oddział, który poprowadzę w poszukiwaniu Carlosa, natknie się przypadkowo na tych Indian. Kilka strzałów, naturalnie nieszkodliwych, dzicy uciekają, porzucają jeńca. Uwalniamy ją, rozwiązujemy i przyprowadzamy do miasta. I na tym koniec. Cóż pan na to, pułkowniku?

- Wspaniale - zawołał Yiscarra. - Czuję, że mi spadł kamień z serca.

- Sam diabeł niczego się tu nie dowie. My zaś nie tylko uwolnimy się od podejrzeń, ale nawet zasłużymy na ogólne uznanie. Zwyciężyć Indian i uwolnić jeńca, siostrę człowieka, który dybał na nasze życie, jakież to bohaterskie i wspaniałomyślne. Wierżaj mi, pułkowniku, że

odegramy się na Carlosie. Jego siostra, jeżeli będzie w stanie, przysięgnie, że znajdowała się w rękach Indian.

- Doskonały plan! Trzeba go zrealizować nie zwlekając. Dzisiaj wieczorem.

- Dobrze. Gdy tylko ludzie pójną na spoczynek, Gomez i Jose wyruszą z Rositą w drogę. A jutro w południe zdam panu raport o tym, że stoczyliśmy krwawą walkę z Jutasami czy innymi czerwonoskórymi, że zabito wielu wojowników, jeniec został uwolniony, że oddział bił się dzielnie, i przedstawię kilku ułanów do nagrody. Cha! cha! cha!

Komendant, aczkolwiek obolały, podzielał tę wesołość. Kapitan zapewnił też Viscarrę, że jego rana nie jest groźna, a lekarz określił okres rekonwalescencji na dwa tygodnie. Uwolniony od obaw o swe zdrowie i od dręczących go myśli, pułkownik uspokoił się i zapadł w drzemkę.

Wieczorem po zachodzie słońca warownię opuściło dwóch mężczyzn. Obaj o ciemnej karnacji, jaskrawo pomalowani i ozdobieni piórami, zupełnie przypominali wojowników indiańskich. Byli to sierżant Gomez i szeregowy Jose. Siedzieli na koniach i za lejce prowadzili muła, na którym jechała siostra łowcy bizonów.

## ROZDZIAŁ XVII

### UCIECZKA W GÓRY

Carlos, uchodząc na swoim mustangu przed ułanami, którzy wy-padli z warowni po zabójstwie porucznika, miał zamiar nie kryjąc się przed nimi pociągnąć pościg za sobą ku górskiej ścieżce, co pozwoliłoby don Juanowi i Tagnosom oddalić się spokojnie w stronę przeciwną. Lecz nie był dostatecznie pewny ostrożności i przenikliwości przyjaciela, niezbędnej w tym wypadku. Młody farmer na widok uciekającego druha mógł wyskoczyć z zarośli, aby wstrzymać pościg, i temu należało zapobiec. Dlatego Carlos wybrał inne rozwiązanie i podjechał do Juana.

- Chwalić Boga, jesteś wolny! - zawołał Juan, zobaczywszy go. - Ale ścigają cię...
- Na szczęście wyprzedziłem ich znacznie.
- Co teraz robimy? Żołnierze niedługo tu będą.

Carlos nie odpowiedział natychmiast. Nie mogąc przyjąć nierównego boju, miał do wyboru trzy wyjścia. Rozbiec się z ludźmi po krzakach, niepostrzeżenie zawrócić na dawną drogę lub wreszcie naprzód ukazać się nieprzyjacielowi, a potem ukryć po przeciwległej stronie zarośli, które ciągnęły się na szerokość dwóch mil. Po chwilowym wahaniu wybrał trzeci plan. Zawołał:

- Rozsypać się na skraju krzaków w ten sposób, aby widoczne były tylko wasze głowy, plecy i łuki. Po wydaniu głośnego wojenne-go okrzyku natychmiast tu zawrócić. Za mną!

Tagnosi rozdzielili się na dwie grupy - jedną dowodził don Juan, drugą - Antonio. Obie rozmieściły się po prawej i lewej stronie Carlosa. Na podobieństwo wojowniczych Indian zamachali łukami na znak wezwania do walki i wydali budzący grozę okrzyk, Tagnosi mało różnili się z daleka od swoich leśnych współbraci. Większość z nich miała obnażone głowy z długimi rozwianymi włosami. Niedawno porzucili koczowniczy tryb życia. Byli neofitami cywilizacji, ale ich okrzyk wojenny wywierał takie samo wrażenie jak okrzyk nieosiadłych Indian.

Ta demonstracja siły spowodowała oczekiwany efekt. Oto zbliżając się niewielkimi grupami ułani zatrzymali się nagle. Wielu chętnie zawróciłoby w miejscu, gdyby w tej chwili z warowni nie wyjechała na pomoc znaczna liczba żołnierzy. Wszyscy sądzili, że w krzakach ukrywa się duża gromada czerwonoskórych, których obecności się spodziewali, sądząc po wypadach, jakie przez kilka dni z rzędu zarządzał komendant w celu odnalezienia Indian.

Carlos dał znak i Antonio poprowadził oddział przez zwarty gąszcz krzaków do końca ścieżki, która wiodła na wysoką równinę. Z satysfakcją zobaczyli, że ułani stłoczyli się w kupę pośrodku łąki, nie mając odwagi ruszyć w stronę niebezpiecznych zarośli, rojących się ich zdaniem od okrutnych dzikich plemion. Przebywszy pięć lub sześć mil, wśród urwisk, oddział zatrzymał się.

Don Juan i Antonio, których żołnierze nie rozpoznali, bo ani razu nie wychylali się z zarośli, mogli najspokojniej wrócić do domu.

Gorzej rzecz się miała z Carlosem. Przed udaniem się na wyprawę Carlos zalecał największą tajemnicę. Wyszli skoro świt, na długo przed przebudzeniem się mieszkańców i nikt w dolinie nie wiedziałby o powrocie łowcy, gdyby nie ostatnie wydarzenia. Po powrocie rozkazał rozładować muły w ukryciu i puścić je na pastwisko w pobliżu osady. Gdyby pościg ułanów przedłużył się do dnia następnego, nic by nie przeszkodziło Tagnosom i ich panu niepostrzeżenie wrócić pod osłoną nocy i najspokojniej zabrać się do zwykłych zajęć. Na to liczył Carlos. Jego schronienie mogło być teraz znane zaledwie małej liczbie wypróbowanych przyjaciół. Nie odczuwał potrzeby dachu nad głową, woląc zamiast niego otwarte, gwiazdziste niebo. Tagnosi złożyli przysięgę, że zachowają tajemnicę. Ich milczeniu można było wierzyć, bo byli to ludzie skryci, z nikim nie związani.

Czekano więc zachodu słońca, aby się rozjechać. Mężczyźni prze-byli jeszcze kilka mil, po czym jeden z czerwonoskórych skierował się na południe. Nie obawiał się jakiegokolwiek spotkania, gdyż wieść o napadzie Indian zamknęła wszystkie wrota. Wkrótce drugi Tagnos opuścił wąwóz i obrał kierunek równoległy z pierwszym. Za nimi podążył trzeci, potem czwarty i tak dalej. Wszystkim polecono wracać do osady różnymi drogami. W tych warunkach ani jeden żołnierz nie był w stanie wysledzić Tagnosów.

Pozostała trójka: Carlos, Juan i Antonio, przebyła wąwóz do końca, skręciła na prawo i zjechała w dolinę, jak najdalej od miasta. Było ciemno, ale ponieważ mężczyźni znali doskonale drogę, więc około północy przybyli do domu młodego farmera. Uściskawszy matkę i opowiedziawszy jej pośpiesznie o tym, co zaszło, Carlos wydał niezbędne wskazówki Juanowi i natychmiast siadł na koń. Towarzyszył mu Antonio z mułem obładowanym żywnością. Mężczyźni skierowali się w dół i wkrótce wjechali na drogę wiodącą do płaskowyżu Liano Estacado.

## ROZDZIAŁ XVIII WIEŚNIACZKI

Na drugi dzień koło południa obywatele San Ildfonso, mocno już poruszonych wydarzeniami dnia wczorajszego, zelektryzowała nowa wiadomość. Oto przez miasto przechodził oddział ułanów, który wracał do warowni po usiłowaniu schwytania zabójcy, jak nazywano Carlosa. Ułani nie znaleźli go, lecz u podnóża gór natknęli się na znaczną gromadę Indian, z którymi stoczyli straszną bitwę. Żołnierze opowiadali też, że Indianie ponieśli duże straty, lecz jak zwykle i tym razem udało im się zabrać ze sobą zabitych. Tak więc obrońcy spokojnych osad nie mogli udowodnić swego bohaterstwa, niemniej mieli zdobycz bardziej cenną. Odbili mianowicie Indianom brankę, młodą dziewczynę z osady, a jak przypuszczał dowódca oddziału, mężny kapitan Roblado, tę samą, którą kilka dni temu czerwonoskórzy porwali z farmy położonej w dolinie.

Oddział pomaszerował w kierunku fortecy, a kapitan z ludźmi prowadzącymi brankę zatrzymał się na placu. Po pierwsze po to, aby przekazać dziewczynę w ręce władz cywilnych, po wtóre, aby dać wszystkim niewątpliwy dowód siły swego oręża, po trzecie, korzystając z okazji chciał stanąć pod balkonem Cataliny de Crucez w glorii chwały i triumfu.

Przy ratuszu zszedł z konia i oddał brankę burmistrzowi i jego urzędnikom. Ceremonię przekazania upiększył mową, w której opisał szczegółowo wstrząsające momenty zaciętej walki. Na zakończenie rzekł:

- Co się tyczy tej nieszczęśliwej dziewczyny - tu wskazał na Rositę - mniemam, iż jest ona tą samą osobą, którą kilka dni temu porwali Indianie. Wyobrażam sobie, jak szczęśliwi będą jej krewni ujrzawszy ją nagle przed sobą. Kimkolwiek są, nie mogę nie podzielać ich radości.

Władze miejskie odpowiedziały na mowę Roblada wyrazami szczerego uznania, a tłum hucznymi oklaskami.

- Niech ci Bóg wynagrodzi, kapitanie!

Torując sobie drogę wśród zaciekawionych mieszczan, Roblado pochyleniem głowy dziękował za owacyjne powitanie. Ale wprawne oko mogłoby zauważyć w jego obliczu utajoną ironię i siłą mięśni hamowaną chęć wybuchnięcia śmiechem. Mężny kapitan pogardzał w duchu łatwowiernymi obywatelami, ale dla dobra sprawy wstrzymywał się od niekontrolowanych odruchów, obiecując sobie, że da upust wesołości dopiero w towarzystwie komendanta.

Tymczasem dokoła branki zgromadziły się tłumy. Ludzie cisnęli się koło dziewczyny bardziej z ciekawości aniżeli ze współczucia.



Słowo „biedaczka” padało z rzadka i to przeważnie z ust ubogich kobiet. Większość zebranych spoglądała na nią obojętnie, co było tym dziwniejsze, że takie zachowanie nie leżało w zwyczajach Nowego Meksyku. Mężczyźni nowomeksykańscy mogli ulegać niewybrednym namiętnościom, lecz kobiety były na ogół delikatne i tkliwe. Rezerwa mieszkańek San Ildefonso wynikała po prostu stąd, że kobiety wiedziały, iż branka była siostrą łowcy bizonów, którego okrzyczano mordercą. Spokojni obywatele z oburzeniem mówili o Carlosie, nazywając go zabójcą, rozbójnikiem, niewdzięcznikiem i tym podobnie. Zabójstwo niewinnego porucznika z błahego powodu - może podczas zwykłej kłótni - wstrząsnęło tymi prostymi ludźmi. Bo jakże to? Nastawać na życie mężnego pułkownika Viscarry, człowieka, który tylko co wrócił z wyprawy ścigając Indian, którzy porwali Rositę? Poza tym komendant, zapomniawszy o osobistych porachunkach, znów wysłał swój oddział na poszukiwanie dziewczyny. I uwolnił ją. Ileż z jednej strony szlachetności i nie-wdzięczności z drugiej.

Tłum szemrał, wymieniał uwagi, a co ciekawsi zadawali pytania niedawnej brance. Rosita siedząc na kamieniu odpowiadała w sposób nieokreślony, impulsywnie wykrzykując oskarżenia pod adresem Indian. Rumieniec zniknął z jej twarzy, spojrzenie utraciło blask, a jednak nigdy jeszcze nie była tak piękna.

- Mówi jak obłąkana - orzekli zebrani. - Wydaje jej się, że nadal jest w rękach wrogów.

I było w tym dużo prawdy. Bo czyż znajdowała się wśród przyjaciół?

- Czy są tu może jej krewni lub znajomi, którzy by ją zabrali? - spytał burmistrz.

Podeszła młoda farmerka, której towarzyszyła starsza kobieta, półkrwi Indianka.

- Znam tę dziewczynę - rzekła współczująco. - Odprowadzę ją.

Tłum uznał, że widowisko skończone, i począł się rozchodzić. Kobiety weszły w wąską ulicę, która przecinała przedmieście, zamieszkałe przez biedotę, i skierowały się w pole. Wąską ścieżką dotarły do stojącej na uboczu chaty. Po kilku minutach przed tym nędznym zabudowaniem zatrzymał się wóz zaprzężony w byki.

Kobieta ująwszy Rositę za rękę usadowiła ją na wozie na kukurydzianych snopach. Poganiacz trącił byki i ruszyli w stronę farm rozrzuconych w dolinie. Po drodze młoda farmerka z troską spoglądała na swą towarzyszkę i starała się chronić od wstrząsów. Uspokajała też nieszczęsną przemawiając do niej czule, lecz ani słowem nie nawiązała do starej znajomości. Nie ulegało wątpliwości, że opiekunka Rosity widzi ją po raz pierwszy.

Znajdowali się już daleko za miastem, gdy nagle na skrzyżowaniu dróg zjawił się jeździec. Przygłupował na pięknym mustangu, które-go okrągłe boki, połysk sierści i cały wygląd świadczyły o dobrym utrzymaniu. Jeździec zatrzymał wóz. A gdy się odezwał, po jego srebrzystym głosie kobieta poznała, kto to, i krzyknęła:

- To pani!?! - Jej zdziwienie było nieudane.

- Nie poznałaś mnie, Józefo? - roześmiała się przybyła. Miała jedwabiste włosy, delikatną skórę i subtelne rysy twarzy. Zwyczajem tutejszym siedziała na koniu po męsku.

- Zupełnie! Bo i jakże rozpoznać panią w tym przebraniu?

- Nazywasz to przebraniem? Przecież to najzwyczajniejszy płaszcz.

I kapelusz z szerokim rondem.

- Bez wątplenia, lecz z większej odległości można panią wziąć za młodzieńca.

- Rzeczywiście musiało mnie to bardzo zmienić, gdyż mijałam wielu znajomych i nikt mi się nie kłaniał. Biedaczka! - spojrzała ze współczuciem na siostrę Carlosa. - Jakże musi cierpieć! Obawiam się, aby pogłoska o jej chorobie się nie sprawdziła. Jakież podobieństwo do...

- Do kogo? - spytała odruchowo Józefa.

Dziewczyna nie odpowiedziała, podniosła tylko palec do ust i wskazała głową na woźnicę. Kobieta, domyślając się tajemnicy młodej amazonki, wstrzymała się od dalszych pytań. Po chwili milczenia dziewczyna zbliżyła się do Józefy i pochyliwszy się nad nią szepnęła:

- Dzisiaj za późno na powrót, możesz zostać do jutra. Gdy tam będziesz, postaraj się wypytać o wszystko. A gdy zobaczysz Antonia, oddaj mu to. - To rzekłszy wsunęła w rękę Józefy złoty pierścień z brylantem, dodając jeszcze: - Powiedz mu, dla kogo ten pierścień, lecz nie mów od kogo. Masz tu też pieniądze na swoje wydatki i na potrzeby Rosity i jej matki. Moja kochana Józefo, przywieź mi dobre nowiny, a teraz żegnaj. - Wręczyła kobiecie trzos i skierowawszy konia w stronę miasta, pomknęła jak wichur.

Józefa od dawna czuła słabość do Antonia. Jeżeli zastanę go na farmie - pomyślała - pobyt może być bardzo przyjemny, w przeciwnym razie zaczekam na jego powrót. Dzięki tej miłej perspektywie, w dodatku zaopatrzona w znaczną sumę pieniędzy, Józefa wszystko zobaczyła w różowych kolorach. Pospolity wóz zamienił się w jej wyobraźni w jeden z tych pojazdów wiszących na resorach i wyłożonych aksamitnymi poduszkami, które znane jej były tylko ze słyszenia. Złożyła na kolanach głowę Rosity, a okrywszy biedaczkę przed wieczorną rosą, kazała woźnicy pospieszać dalej. Robotnik trącił byki i wóz potoczył się ku swemu celowi.

## ROZDZIAŁ XIX

### SZPIEG

W sercu Yiscarry coraz bardziej rozpalala się żądza zemsty. Pozbywszy się obaw o swe życie i wyprawiwszy Rositę z warowni, cierpiał prawdziwe katusze. Jego przystojna twarz została na zawsze zeszpecona. Gdy spojrzął po raz pierwszy po wypadku w lustro, przeraził się i poczuł tak, jakby go ktoś pchnął rozpalonym żelazem prosto w serce. Mało nie zemdłał i żałował, że nie zabito go na miejscu. Wybite zęby mógł wstawić, lecz co zrobić z potwornie poharataną szczęką. Kula pozostawiła na twarzy pułkownika ohydną szramę.

Viscarra oddał się rozpaczcy i poprzysiągł zabić swego wroga, nie szczędząc mu największych męczarni.

- Tak - mówił pułkownik - powinienem się zemścić. Nie wolno nam zaniechać żadnych wysiłków zmierzających do pojmania łowcy bizonów. Musimy go ująć żywcem. A ja już obmyślę dla niego kaźń. Będzie umierał powolną śmiercią. Zginie na stosie, matkę oskarżymy o czary i także ją spotka kara, przewidziana dla czarownic, a dla siostry też potrafię znaleźć coś, aby ją skazać.

Roblado nie mniej gorąco pragnął śmierci łowcy. Jego duma i ambicja zostały głęboko dotknięte. Po wydarzeniu w warowni odwiedzał kilka razy swą narzeczoną, jak w myślach nazywał córkę bogatego właściciela kopalni, i był zaskoczony zachowaniem się dziewczyny. Nie broniła wprawdzie tego, kogo on gorliwie okrzyknął mordercą, lecz też ani jednym słowem nie wyraziła swego oburzenia. A zdawało mu się nawet, że zasmucają ją ubliżające przezwiska, którymi on i Ambrosio określali zbiega. Sądził, że gdyby śmiała, zdecydowałyby się Carlosa usprawiedliwiać. Nic dziwnego, że życzył sobie pojmania i śmierci Carlosa nie mniej niż komendant.

Pułkownik rozesłał na wszystkie strony wywiadowców, przepłacił szpiegów. W obwieszczeniach rozklejonych na ścianach i murach informowano o wyznaczeniu wielkiej nagrody za głowę mordercy i podwójnej sumy dla tego, kto dostarczy Carlosa żywcem. Chcąc ze swej strony okazać gorliwość, obywatele miasta rozwiesili podobne ogłoszenia i ze-brali stosowną kwotę dla człowieka, który przyprowadzi zabójcę. Pod ogłoszeniem podpisali się wszyscy obywatele San Idefonso, na czele z don Ambrosiem. Mówiono nawet o zorganizowaniu oddziału, który by przyszedł w sukurs wojsku, a w samej rzeczy dlatego, aby otrzymać przyrzeczoną nagrodę. Napiętnowany w ten sposób publicznie Carlos, zdawało się, nie mógł liczyć na uniknięcie śmierci.

Roblado najbardziej sprytnym i zaufanym szpiegom polecił prze-czesywać dolinę. Obiecał szczerze zapłacić za każdą wieść o miejscach, w których przebywał Carlos, o przyjaciółach, z którymi obco-wał. Śledzony był don Juan, wobec którego komendant i kapitan mieli swoje plany, lecz na razie postanowili zostawić go w spokoju. Ponieważ żołnierze mogliby wzbudzać podejrzenia, dokoła jego farmy kręcili się przekupieni mieszczanie i biedni farmerzy, nie znani nikomu. Oddział ułanów - zdaniem Roblada - mógłby przestraszyć ptaszka i ostrzec go przed powrotem do rodzinnego gniazda. )

Siedząc w swym pokoju Roblado przebiegał właśnie oczyma rozmaite doniesienia szpiegów, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi.

- Kto tam? - zapytał głośno.

- To ja, kapitanie - odpowiedział piskliwy głos.

- Wejź!

Niewielkiego wzrostu szatyn z twarzą podobną do pyska kuny szybko podążył do kapitana. Pomimo munduru, szabli i ostróg minę miał uniozoną i lękliwą.

- No, Jose, co masz mi do powiedzenia? Czyś widział pokojówkę córki don Ambrosia?

- Tak, kapitanie. Wincentę spotkałem wczoraj wieczorem.

- I cóż nowego?

- Nie wiem, czy to dla pana kapitana nowina, lecz Wincenta mówiła mi, że jej pani odesłała tę dziewczynę do domu. Gdy przy ratuszu burmistrz zapytał, kto chce ją zabrać, wystąpiła młoda farmerka w towarzystwie swej matki i kobiety wyraziły chęć zajęcia się Rositą, co nie napotkało najmniejszego sprzeciwu. Wtedy wszystkie trzy udały się do biednej chaty, stojącej na uboczu.

- Wiem. Mówiono mi, że nie zostały tam, lecz odjechały.

- Przed drzwiami zatrzymał się wóz prowadzony przez Tagnosa.

Młoda farmerka, Józefa, wsiadła i posadziła przy sobie Rositę. Ale ani Józefa, ani jej matka nigdy przedtem nie widziały Rosity. I jak pan myśli, kto je wysłał wraz z wozem po dziewczynę?

- Któż taki? - spytał zaskoczony kapitan.

- Wincenta zapewnia, że zrobiła to jej pani.

- Co?! - krzyknął Roblado ostrym głosem. - Czy Wincenta jest tego pewna?

- Mało tego. Jej pani w ubraniu prostego ziemianina, w kapeluszu z szerokim rondem wyjechała z domu konno, ominęła zabudowania i skierowała się ku drodze, którą jechał wóz. Dognała go i rozmawiała z kobietami.

Wiadomość ta wywarła duże wrażenie na Robladzie. Zmarszczył brwi, długo się nad czymś zastanawiał, wreszcie zapytał:

- Czy to wszystko, co miałeś mi do zakomunikowania?

- Tak, kapitanie.

- Postaraj się zebrać nowe wiadomości. Pomów wieczorem z Win-centa i zaleć jak największą czujność. Jeżeli wykryje jakikolwiek ich kontakt, dostanie nagrodę, a i o tobie nie zapomnę. Dowiedz się, co się stało z Józefą i jej matką, i znajdź Tagnosa, który je odwoził. Idź i nie trać czasu!

Ukłoniwszy się z uszanowaniem Jose opuścił pokój. Wtedy Roblado chodząc szybko tam i z powrotem mówił głośno:

- Coś podobnego! Coś podobnego! Nigdy bym się czegoś takie-go nie spodziewał. A więc oni się już znają... Lecz to może mi pomóc. Już wiem, jaką pułapkę zastawię, w którą wpadnie nasz chłopaczek. Otóż nie doceniasz mnie, piękna Catalino. Wezmę tę sprawę w swoje ręce i złapię ptaszka.

Uspokoiwszy się obrazami zwycięstwa i zemsty, Roblado poszedł do komendanta, aby podzielić się z nim dopiero co otrzymanymi wiadomościami.

## ROZDZIAŁ XX

### ZGUBIONA KARTKA

Dzień chylił się ku końcowi. Żłocisty krąg dotykał już białego wzniesienia Sierra Blanca, zasłaniającego wschodni skraj horyzontu.

Śnieżna pokrywa góry błyszczała wspaniałym różowym kolorem, który im niżej, tym ciemniejszy przybierał odcień. Purpura, którą pały doliny, stanowiła piękny kontrast z ciemną zielenią lasów wznoszących się po bokach górskiego pasma. Był to niezwykły zachód słońca. Błękitne, czerwone i złote obłoki przyjmowały tak fantastyczne formy, jakie by tylko można sobie wymarzyć w świecie bajek.

Córka don Ambrosia patrzyła jednak na ten przepyszny zachód ze smutkiem, który nie harmonizował z pięknem wieczoru. Jej myśli biegły ku innym sprawom. Niedawno Józefa wręczyła jej kartkę od Carlosa. Nie minęło kilka godzin, a kartka ta zniknęła w tajemniczy sposób. Nic w niej co prawda nie było kompromitującego, lecz Carlos prosił ją o spotkanie, zanim uda się za granicę. Ten dziwny fakt nie dawał jej spokoju. Zjawi się dziś wieczorem w ogrodzie... I jeśli dowie się o tym ktoś nieprzyjazny, to łowca jest zgubiony. A ona nie jest w stanie go uprzedzić. Catalina domyślała się, że Carlos padł ofiarą strasznego oskarżenia, bo ani przez moment nie wierzyła w jego winę, pragnęła go uchronić przed najgorszym. Naraz pomyślała o Wincencie. Czyżby to ona znalazła i pokazała kartkę temu żołnierzowi, który stara się o nią? Nie ufała ani trochę człowiekowi z twarzą kuny i oczami szpiega... Nie było chwili do stracenia.

Toteż nachyliwszy się z balkonu, dziewczyna zawołała:

- Wincenta! Wincenta!
- Jestem, proszę pani - odparł głos z zewnątrz domu.
- Chodź tutaj! Prędzej!

Młoda dziewczyna w krótkiej spódniczce i w kolorowej bluzce przeszła przez podwórze i wbiegła na schody. Była Metyską, córką Indianki i Hiszpana. Jej rysy można było nazwać przyjemnymi, gdyby tego wrażenia nie psuły przebiegłość, fałsz i zuchwałość, wypisane na twarzy.

- Słucham panią - rzekła Wincenta, gdy tylko weszła w drzwi.
- Zgubiłam świstek papieru złożony w poprzek, w ten sposób. - Tu Catalina pokazała jak i spytała: - Czyś nie widziała takiego papieru?
- Nie, señorita - pospiesznie zapewniła pokojówka.
- Może go wyrzuciłaś w ogień przy zamiataniu?

- Nie zrobiłam tego. Ponieważ nie umiem czytać, staram się odkładać wszystkie papierki w obawie, aby nie zniszczyć czego potrzebnego.

Wyjaśnienie Metyski nosiło cechy prawdopodobieństwa, toteż Catalina zwolniła dziewczynę.

- Możesz odejść.

Pokojówka wyszła milcząco, lecz schodząc ze schodów popatrzyła w górę, a na jej wargach zaigrał ironiczny uśmiech. Dobrze wiedziała, co się stało z karteczką, na której tak pani zależało.

W tym czasie zastukano do drzwi kapitana Roblada. I po chwili usłużny Jose lisimi krokami wszedł do pokoju.

- Co nowego? - spytał kapitan.

- Przynoszę dobre nowiny - odparł żołnierz podając złożoną kartkę.

Kapitan szybko rozpostarł papier i rzucił okiem na pismo. Przeczytawszy je zerwał się z miejsca z takim pośpiechem, jakby go kto ukłuł igłą.

- Jose! Przyślij mi natychmiast sierżanta Gomeza i nic nikomu nie mów! - zawołał chodząc po pokoju. - Ty też będziesz mi potrzebny!

Jose wybiegł tak prędko, że nawet jego ukłon odznaczał się mniejszą uniżonością niż zazwyczaj.

- Niebo mi sprzyja - rzekł kapitan czytając powtórnie kartkę. - Spotkanie wyznaczył o północy, zdążę więc jeszcze na czas. Lecz nie wskazał miejsca! Jak działać w ciemno? Albo... Najlepiej niech Wincenta dalej szpieguje swoją panią i wszystkiego się dowie. A wtedy da mi znać; będę w lesie za miastem, naprzeciwko domu don Ambrosia. Resztę biorę na siebie!

W tej chwili wszedł sierżant Gomez.

- Gomez! Wybierz dwudziestu zuchów i bądź z nimi gotów na jedenastą. Czasu jeszcze dużo, lecz urządz tak, aby na pierwszy sygnał sięść na koń. Poleć ludziom ostrożność. Nabijcie karabiny, później wydam szczegółowe rozkazy.

Sierżant w milczeniu opuścił pokój.

Niczego więcej nie pragnąłbym, jak znać miejsce spotkania - pomyślał kapitan. - Zapewne gdzieś na odludziu. Przecież nie ośmieliliby się pokazać w mieście w obawie, że go poznają, albo jego konia. Śmierć Carlosowi! A to jego wspaniałe zwierzę... prawnie do mnie należy. A może pójść jeszcze do komendanta? Nie, lepiej poczekam. Ponieważ Yiscarra je wieszczę późno, to po powrocie zdążę go zabawić opowiadaniem o schwytaniu łowcy. A nuż będę miał przyjemność położyć przed nim na stole uszy Carlosa. Na tę możliwość Roblado zaśmiał się dzikim śmiechem, następnie przypasał szablę, wziął parę pistoletów, opatrzył je starannie i wyszedł na dwór.

## ROZDZIAŁ XXI

### PRZERWANE ZWIERZENIA

Była godzina jedenasta w nocy. Księżyc już wzeszedł, lecz świecił tak nisko nad horyzontem, że wzgórza, które zamykały dolinę z południa, rzucały ogromne cienie na równinę. Tamtędy starał się jechać jeździec, który wyraźnie nie chciał, aby go zauważono. Nadzwyczaj ostrożnie, trzymając się podnóża skały, posuwał się naprzód, a za każdym razem, gdy miał przejeżdżać przez zalane światłem księżycy miejsca, puszczał konia galopem, obejrzawszy się uprzednio uważnie na wszystkie strony. W takich chwilach widać było jak na dłoni młodzieńca w stroju osadnika, siedzącego na pięknym koniu, sierść którego lśniła w srebrzystych promieniach miesiąca.

Ludzie z okolicy z łatwością rozpoznaliby tego jeźdźcę po jego słusznym wzroście, po białej karnacji skóry, po włosach jasnych i gęstych, które kędziorami wymykały się spod szerokiego randa kapelusza. Był to Carlos. Obok niego biegł Hektor. Zbliżywszy się do miasta Carlos podwoił czujność. Na szczęście teren był tu zadrzewiony, usiany tu i ówdzie zaroślami. Młodzieniec, zanim zdecydował się wjechać w krzaki, posyłał naprzód Hektora. Opuszczając kryjówkę bacznie przyglądał się przestrzeni dzielącej go od następnego skupiska drzew.

Wkrótce dosięgnął! granic miasta. Mieszkańcy spali już błogim snem, wszystkie ognie pogaszono, bramy domów zamknięto. Na ulicach obecni byli tylko nocni stróżowie owinięci w ciemne płaszcze. Jedni chodzili, inni drzemali pod ścianami z wielkimi halabardami w ręku, tuż przy nich na trotuarze stały latarnie.

Wśród tej ciszy rozległ się nagle dźwięk dzwonu: to na kościelnym zegarze wybiła północ. Carlos znajdował się po drugiej stronie ogrodu, za rzeką, przez którą prowadziły dwa mosty, jeden roboczy, ordynarniejszy, dla ułatwienia przejścia koniom, drugi zaś elegancki do użytku właścicieli, z furtką zamykaną na klucz.

Gdy wybiło ostatnie uderzenie, Carlos pozostawiwszy konia z lejcami uwiązany do łąku siodła, jak to miał w zwyczaju, a przy nim Hektora, zbliżył się ostrożnie do mostka. Jednocześnie drzwi domu don Ambrosia rozwarły się cicho i wyszła z nich Catalina. Podeszła do rzeczki, po drugiej stronie której stał ciemny zagajnik, otworzyła furtkę i wyjąwszy białą batystową chusteczkę, zatrzymała ją parę minut nad głową.

Jej sygnał został zauważony, bo po chwili stanął przed dziewczyną Carlos.

- Co się stało z pańską siostrą? - spytała po kilku słowach powitania.



- Jest już w swoim domu, który kazałem naprawić. I od tej pory jakby cudem powrócił jej rozsądek. Rzadko tylko trafiają się jej chwile bredzenia i mam nadzieję, że wkrótce zupełnie odzyska zdrowie.

- Ta nowina bardzo mnie cieszy. Biedaczka! Ileż ona musiała wycierpieć będąc w rękach tych dzikusów bez serca i bez litości.

- Rzeczywiście, Catalino, bez litości! Oni zasługują na pani oburzenie, chociaż pewno się pani nie domyśla, o kim mówię.

- Jak to?! - spytała zdziwiona. - Czyż siostra pańska nie była w niewoli u Indian?

- Otóż nie. I dla wyjaśnienia tej okoliczności błagałem panią o spotkanie. Chciałem przed panią odkryć to, co mogło się wydawać tajemnicze i dziwne w moim postępowaniu. Wysłuchaj mnie, Catalino.

Tu Carlos opowiedział ze szczegółami o zasadzce urządzonej przez dwóch oficerów warowni.

- Niegodziwcy! - zawołała. - Któż mógłby ich posądzać o podobne rozbestwienie. Nigdy bym w to nie uwierzyła, gdyby mi pan tego nie powiedział, Carlosie. Słyszałam już o niecnym sprawkach tych ludzi, ale ostatni czyn przechodzi wszelką miarę.

- Teraz sama pani widzi, czy zasługuję na miano zabójcy.

- Nigdy w to nie wierzyłam, ani przez sekundę. Wiedziałam, że słuszność jest po pańskiej stronie, lecz teraz niech się pan nie obawia, rzecz cała się wyjaśni i posądzenie świata...

- Świat! On dla mnie nie istnieje! - przerwał jej z goryczą. Liczy się tylko pani opinia. Nie mam dachu, nie mam ojczyzny. Ci, wśród których wyrosłem, uważali mnie zawsze za obcego, cudzoziemca, za ledwie znośną obecność. Teraz jestem zbiegiem, za którego głowę nałożono nagrodę. Zaiste, gdy pomyślę o sumie przy-rzeczonej w ogłoszeniach, nie mogę wyjść ze zdumienia, że wart jestem tak wielkich pieniędzy. - Na wspomnienie tego nie mogłem się powstrzymać od sarkastycznego śmiechu. - I choć wzdraga się przed tym moje serce, zmuszony jestem panią opuścić, bo tutaj czeka mnie śmierć i tortury. Wrócę do ludzi swego plemienia, do swoich krewnych.

W oczach Cataliny ukazały się łzy.

- Jeśli pan chce, pójdę za panem i z pańską rodziną.

- O, Catalino, powtórz! Ty się mnie nie lękasz?! Kochasz mnie?

- Tak - odparła miękko.

- Zatem szczęście, które utraciłem osiem dni temu, znowu do mnie wróciło? O, bo ja roilem tak cudnie! Patrz! - zawołał, pokazując garść pełną błyszczącego metalu. - To złoto. Dostałem je od Indian, chciałem stać się równie bogaty, jak twój ojciec. Wtedy przestałby mnie lekceważyć. Ale

dzisiaj... Jeszcze nie czas. Lecz twoje słowa dodają mi otuchy, pozwalają marzyć. Nie martw się o to wszystko, co porzucisz.

W tej chwili czujna Catalina dała mu znak. Usłyszała najwyraźniej jakieś szelesty w zaroślach za altanką. Wiatru nie było zupełnie, więc to ją zastanowiło. Wstali, przeszukali krzaki, ale nic nie znaleźli. Księżyc skłonił się nisko ku horyzontowi, pociemniało, lecz można było na pewną odległość rozróżniać przedmioty.

- Może się pomyliłaś - rzekł Carlos.

- Nie, wyraźnie słyszałam trzask gałęzi.

Jeszcze raz poczęli penetrować trawę i krzaki. I łowca rzekł zdziwiony:

- Masz rację! Nie ma najmniejszej wątpliwości, że ktoś tu leżał.

Chyba kobieta.

- To nikt inny, tylko Wincenta, moja pokojówka. Boże! Ona słyszała naszą rozmowę... - przeraziła się dziewczyna.

Nagle po drugiej stronie rzeki rozległo się zajadłe ujadanie Hektora. Młodzi rozłączyli się. Carlos podbiegł jeszcze do Cataliny, która zatrzymała się pośrodku ogrodu, trwożna o niego, i przyciągnął dziewczynę na chwilę, aby się z nią pożegnać.

- Uciekaj, uciekaj i nie martw się o mnie! Nie ośmielą się mnie ruszyć! - szepnęła lękliwie musnąwszy na koniec ustami jego policzek.

Prawie w tej samej sekundzie rozległ się tętent kopyt końskich na wielkim moście i za murem ogrodu. Hektor nie przestawał rzucać się i szczekać zajadle. Niebawem wśród drzew nad brzegiem rzeki ukazali się jeźdźcy.

Ogród był otoczony wojskiem.

## ROZDZIAŁ XXII NIEUDANY NAPAD

Osaczony Carlos ruszył na koniec ogrodu. Wróg zajmował przeciwległy brzeg i żołnierze nawoływali się głośno. Zszedłszy z konia Roblado kazał kilku ludziom podążać pieszo za sobą. Już zbliżyli się do mostu.

Carlos czuł, że grozi mu śmierć, jeżeli pozostanie bezczynny, toteż z pistoletem w ręku rzucił się naprzód i znalazł się twarzą w twarz z Robladem. Kapitan wystrzelił pierwszy, lecz spudłował. Aby uniknąć kuli przeciwnika, odskoczył i zakomenderował: ognia. Zanim jednak żołnierze spełnili rozkaz, rozległ się strzał i Roblado padł na ziemię. Wówczas Carlos odepchnął furtkę i błyskawicznie rzucił się na most. Wtem pośród dymu wystrzałów ujrzał kilkanaście karabinów skierowanych ku sobie. Jednocześnie zbawcza myśl przyszła mu do głowy. Gruchnęły karabiny i gdy rozwiął się dym, na moście nie było łowcy bizonów.

- Nie spudłowaliśmy przecie! - krzyczeli żołnierze. – Zabiliśmy go, lecz gdzie się podział?
- Pewnie wpadł do wody - odezwał się jeden z nich.

Rzeczywiście kręgi rozchodzące się na wodzie dowodziły, że upadło tam ciało. Jednak nie było go z góry widać.

- Poszedł na dno - zauważyli niektórzy.
- A czyście pewni, że się nie uratował i nie popłynął?
- Nieprawdopodobne. Nie ma fal na rzece.
- A więc został zabity i poszedł na dno.
- Teraz trzeba go wydobyć i nagroda nasza!

Lecz kapitan, który miał tylko postrzeloną rękę i już przyszedł do siebie, krzyknął gniewnie:

- Co wy robicie?! Lećcie czym prędzej wzdłuż brzegu! Inaczej i tym razem nam ucieknie.

Ułani wypełnili rozkaz. Nagle ci, którzy biegli w dół rzeki, zatrzymali się jak skamieniali. Jakies dwieście metrów przed nimi wyłoniła się z wody najprzód głowa, potem i cała postać łowcy. Zaledwie stanął na nogi, z szybkością łani rzucił się w stronę pobliskiego zagajnika.

- To on! To on! Klnę się na wszystkich świętych! - wołał jeden z żołnierzy.

Ktoś wystrzelił na chybił trafił. Rozległ się ostry świst. Koń wybiegł z zarośli jak strzała i pomknął na spotkanie Carlosa. Ten wskoczył na siodło, podrażnił wrogów ironicznym głośnym śmiechem i zniknął w mroku. Ułani wskoczyli na konie i puścili się w pogoń, lecz wkrótce wrócili z pustymi rękami do ranionego dowódcy.

Powiedzieć, że Roblado był wściekły, znaczyłoby dać bardzo słabe pojęcie o nastroju, w jakim się znajdował kapitan. Lecz miał jeszcze w swej mocy drugą ofiarę, na której mógł wyrzucić całą swą zemstę - córkę Ambrosia, którą powierzył opiece swego zausznika, niezbyt wojowniczego Jose.

Wystraszona krzykami i strzałami Catalina uspokoiła się nieco, gdy usłyszała głośny śmiech Carlosa. Poczęła też intensywnie myśleć, jak by się uwolnić od złośliwych uwag kapitana. Lisi wygląd Jose natchnął ją dobrym pomysłem, aby spróbować, czy jej opiekun nie będzie czuły na woreczek złota. I rzeczywiście, doszli do porozumienia. Jose pomyślał, że nie ma wielkiego ryzyka w zwolnieniu dziewczyny. Zawsze można ją zatrzymać pod zarzutem kontaktu z zabójcą. Za grube pieniądze zdecydował się narazić na gniew kapitana, tym bardziej że ze względu na pewne informacje mógł liczyć na jego wyrozumiałość.

Gdy Roblado przechodził most, aby udać się do ogrodu, podbiegł doń Jose ciężko dysząc i wybąkał:

- Panienska uciekła!

- Łotrze! Dlaczegoś jej nie pilnował?

- Odwróciłem się na moment, a ona uciekła do domu. Gdyby to była Indianka czy służąca, dognałaby ją moja kula, lecz w tym przypadku co mogłem zrobić. Rzuciłem się za nią, ale zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

- Aleś mi wyświadczył przysługę - zawołał w rozpaczony Roblado.

W porywie wściekłości chciał wziąć dom don Ambrosia szturmem, lecz w porę zrozumiał, że ten postępek spotkałby się z ogólnym potępieniem. Prócz tego rana dawała znać o sobie. Tak więc Roblado, zły i obolały, znowu przeszedł przez most, przy pomocy żołnierzy siadł na konia i zebrawszy wokół siebie swój mężny oddział, podążył do warowni jak niepyszny. Szczęście wyraźnie mu nie sprzyjało. Tyle jego zabiegów na nic. Mełł w ustach przekleństwa, a w nocy długo nie mógł zasnąć na wspomnienie tej porażki.

## ROZDZIAŁ XXIII

### NIEUCHWYTNY

Zuchwale pojawienie się Carlosa i jego ucieczka wywołały panikę w okolicy. Nigdzie zabobon nie jest tak silnie zakorzeniony jak w nowomeksykańskich koloniach. Szczepiąc wiarę katolicką na kulcie pogańskim, nie zdołano zniszczyć wielu bałwochwalczych obrzędów i ciemni parafianie wierzą w magię, czarnoksiężstwo i inne podobne głupstwa tak samo gorliwie, jak w Boga. Nic też dziwnego, że posądzenie Carlosa o konszachty z diabłem uważano za coś naturalnego. Jeżeli przewrócił z łatwością byka, zręcznie pochwycił pieniądź, galopował nad brzegiem przepaści, to dlatego tego dokonał, że zawarł umowę z szatanem. Tak myślało wielu.

Urzędnicy i wybitne osobistości miasta zgromadziwszy się w ratuszu jednomyślnie podwoili wyznaczoną za jego głowę sumę i zagrozili surową karą temu, kto by ofiarował zbiegowi pomoc lub dach nad głową. Na szczęście oskarżony nie potrzebował dachu, pod którym by chciał się schronić. Nawykł do życia w stepach, w wąwozach górskich i w ogóle w takich miejscach, w których wrogowie jego umarliby niechybnie z głodu, nie mając żadnych środków do życia.

Trudno opisać uczucia Roblada i komendanta. Urażona ambicja, fizyczne i moralne cierpienia doprowadziły ich do zapiekłej wściekłości. Wcześniejsze zniknięcie Carlosa byłoby nawet mile widziane przez obu oficerów, lecz od czasu ostatnich wypadków sposób ich reagowania gruntownie się zmienił. Ogólne współczucie, wywołane ich niepowodzeniem, tylko powiększało bezsilną nienawiść.

Pewnego razu obydwaj spacerowali po tarasie warowni opanowani jedną myślą - zniszczenia łowcy.

- On kocha wprawdzie matkę i siostrę - odezwał się Viscarra - lecz każdy człowiek przede wszystkim kocha samego siebie. Dlatego zaczynam się obawiać, że porzuci te strony na zawsze, a w ostateczności na długo. Ale pan ma na widoku jakiś zamiar czy szczęśliwy pomysł.

- Plan mój jeszcze niezupełnie się skryształizował, lecz pokrótce go omówię. Wiadomo, że robotnicy odwiedzają Carlosa w jego kryjówce. Kazałem ich szpiegować, lecz zawsze znajdowano ich przy zwykłych zajęciach. Jeden z nich, najbardziej odważny, kilkakrotnie nocą opuszczał osadę swego pana. Nasi próbowali iść za nim, lecz za każdym razem zniknął wśród gęstwy zarośli. Brak nam odpowiedniego człowieka do wykrycia jego śladów, a przynajmniej nie mamy takiego w garnizonie.

- W takim razie - rzekł komendant - zwróćmy się do jakiegoś łowcy bizonów.

- Pomyślałem o tym. Zarówno nasi myśliwi, jak w ogóle wszyscy myśliwi okoliczni, jak słyszałem, nie popierają Carlosa. Lecz wątpię, aby któryś z nich miał w sobie zręczność i odwagę niezbędną do tego rodzaju przedsięwzięcia. Chcieliby schwytać zbiega i zarazem boją się go. Ale znam pewnego osobnika, który mógłby spróbować. Indywiduum to przechodzi chytryścią Indian i posiada wiele ich tajemnic, a do tego nie tylko nie przestraszy się spotkania z Carlosem, lecz nawet z samym diabłem.

- Cóż to za człowiek? - z niezmierną ciekawością zapytał pułkownik.

- Mulat, były niewolnik. Nienawidzi wszystkiego, co przypomina mu jego dawnych panów, a w tych wspomnieniach, nie wiem dlaczego, znalazła się i rodzina Carlosa. Mulat ma przyjaciela, alter ego\*, człowieka z plemienia, Zambo znad brzegów Matamorasa lub Tampiko. To ludzie łączący lwie męstwo z przemyślnością tygrysa.

Obaj dużego wzrostu, silni, sprytni, a co najważniejsze - są bez skrupułów. A Mulat przewyższa Zambo we wszystkim, także w zbrodni.

- Brawo! - zawołał pułkownik. - Takich nam potrzeba.

Więc sądzi pan, że się zgodzą? A jak się z nimi zobaczyć tak, aby nikt nie widział?

- Mieszkają w szalasy skleconym wśród skał, z dala od przejezdnych dróg, na samym końcu wąskiej ścieżki pomiędzy zaroślami. Mam zupełnie pewnego przewodnika, który mnie tam zaprowadzi.

Już nawet czeka na mnie w warowni.

- Brawo, kapitanie! Jedź pan, bierz mego konia, jeżeli twój nie jest gotów.

Roblado wychylił się na dziedziniec.

- Hej, podać mi konia. Esteban niech tu natychmiast przyjdzie!

- Jestem.

- Chodź na górę, prędzej!

Młody Indianin szybko wbiegł na taras i z uszanowaniem pod-szedł do kapitana.

- Jedziemy! Wiesz gdzie...

- Tak.

- Ale pamiętaj, ani słowa. Inaczej zamiast nagrody czekają cię baty, a może nawet coś gorszego.

Za chwilę kapitan z chłopcem opuścili warownię. Viscarra został sam. Baczny obserwator zauważyłby w jego twarzy dziwną zawziętość pojawiającą się za każdym razem, gdy jego spojrzenie przypadkowo padało na wzgórze Ninny Perdidy.

---

\* Alter ego - dosłownie drugi ja; bliski przyjaciel, powiernik, zaufany zastępca

## ROZDZIAŁ XXIV

### DOSTAWCY BIZONICH OZORÓW

Roblado jechał blisko pół mili drogą prowadzącą z miasta do górzystej równiny, potem skręcił w wąską ścieżkę służącą za przejście dla pastuchów i myśliwych i wreszcie dotarł na miejsce.

Mulat i Zambo byli dostawcami nadzwyczaj delikatnej potrawy, za jaką uważano bizonie ozory przygotowywane w specjalny sposób, przy czym - aby odpowiadały wymogom kulinarnym - należało to uczynić natychmiast po zabiciu byka. Ich szałas stał u podnóża skały. Dach z jednej strony opierał się o wzgórze, z drugiej o pień jukki, gęsto rozrosłej dookoła palmy. Drzewo to jest bardzo pożyteczne, gdyż jego liście służą do zrobienia dachu, z drewna sporządza się drzwi, okna i inne przedmioty niezbędne w domu.

Postawienie takiego mieszkania nie kosztowało mężczyzn ani pieniędzy, ani wielkich trudów. Za tylną ścianę posłużyła prostopadła skała, na której długie ciemne pasmo znaczyło ślad dymu, ulatujące go nie z komina, lecz przez otwór w ścianie. Trzy inne ściany wykonane zostały z lian i specjalnych gałęzi, byle jak zlepionych gliną. Wejście znajdowało się z boku, przy samej skale, okno natomiast zrobiono od frontu, aby myśliwi mogli widzieć przybyszów.

Lepiankę rzadko odwiedzano, a to z tej prostej przyczyny, że właściciele nie mieli wielu znajomych, poza tym, ukryta wśród gór i drzew, stała daleko od uczęszczanych szlaków.

Na niewielkim podwórku, ogrodzonym ociosanymi kamieniami, pały się trzy wychudzone muły i dwa mustangi w nie lepszym stanie. Do podwórza przytykało coś w rodzaju ogródka albo mówiąc dokładniej miejsce, które niegdyś było ogrodem, lecz z braku starań zarosło najróżnorodniejszym zielskiem. W jednym tylko kącie można było zauważyć ślady pracy, gdzie łodygi kukurydzy, nierówno rozmieszczone, sterczały pomiędzy łopiatymi liśćmi melonów i dyni. Pół tuzina psów, podobnych do wilków, wałęsało się dokoła chaty, a pod występem skały leżały porzucone stare juki. Na pionowej żerdzi wisały kawały słoniny, dwie uzdy, dwa używane siodła i worki z angielskim pieprzem.

Wewnątrz chaty dwie brudne Indianki miesiły ciasto na chleb i piekły tasajo\* na ogniu, który płonął pomiędzy dwoma kamieniami przy ścianie skały. Tuż stały rzędem gliniane garnki i rozcięte tykwy służące za talerze. Druga, lepsza izba tej lepianki była przy-strojona zwierzęcymi skórąmi, łukami i kołczanami. W kącie wisały też dwa długie noże, prochownica, torby i inne przedmioty niezbędne dla myśliwego Gór Skalistych. Dalej złożone były długie kopie, karabin i

---

\* Tasajo - kawałek (poleć) mięsa, także suszonego

hiszpański sztucer. Wyżej wzniesione płaskie kamienie służyły za łóżka gospodarzom. Rybackie i myśliwskie sieci dopełniały umeblowania.

Roblado znalazł gospodarzy na zewnątrz chaty. Mulat Manuel niedbale rozwalony siedział na ziemi, a Zambo Pepe kołysał się na huśtawce zawieszanej pomiędzy dwoma drzewami zgodnie ze zwyczajem swej ojczyzny. Kapitan z przyjemnością patrzył na tych osobników, których fizjonomia nie spodobałaby się nikomu na pierwszy rzut oka. Spotykał ich już przedtem, lecz nigdy nie przychodziło mu do głowy, aby się im przyglądać. Teraz na widok śniadych, ponurych twarzy i atletycznie rozwiniętych mięśni pomyślał, że takich ludzi mu potrzeba.

Sądząc po ich posturze każdy z nich łatwo mógł pokonać takiego przeciwnika jak Carlos; przewyższali go wzrostem i siłą. Mulat był wyższy od towarzysza, a także silniejszy, kolor skóry miał żółtomatowy, brodę rzadką i zwichrzoną, wargi grube i czerwone jak u Negrów. Duże zęby przywodziły na myśl kły wilka. Szerokie czarne brwi zwieszały się nad wpadłymi oczyma, których białka pokrywały żółtawe plamy. Nos miał szeroki, spłaszczony. Duże uszy chowały się pod kręconymi włosami, nakrytymi jak hełmem chustą, która od dawna nie widziała mydła. Na czoło wymykały mu się spod nakrycia kosmyki włosów. Uderzała w jego fizjonomii dzikość i okrucieństwo. A z rysów wyzierała odwaga, łotrostwo i brak wszelkich uczuć ludzkich.

Ubranie Mulata niewiele różniło się od zwykłego stroju stepowych myśliwych, uszytego z sukna i skóry. Oryginalne nakrycie głowy, właściwe dawnym niewolnikom Marronów, pozostało jako pamiątka południowych stanów amerykańskich.

Zambo miał twarz nie mniej okrutną niż jego towarzysz, a różnił się od Mulata tylko kolorem skóry. Pochodząc od Indianina i Murzynki, połączył w sobie odcienie obu ras, to znaczy, posiadał skórę czarnawomiedzianą, grube wargi i wąskie czoło Negra. Typ indiański uwidaczniał się we włosach, które długimi pasmami spadały mu na plecy i szyję. Zbudowany był nie tak proporcjonalnie jak Mulat. Nosił się jak zwykły nadbrzeżny Zambo. Włożył szerokie bawełniane spodnie, koszulę bez rękawów, pas i zniszczony płaszcz; pierś i plecy były miejscami gołe, ręce zupełnie obnażone.

Roblado zjawił się w samą porę, aby uczestniczyć jeszcze w pewnej scenie, która obrazowo ukazywała charakter Zambo. Mężczyzna, wpołężąc na huśtawce, z rozkoszą palił cygaro, zawinięte w kukurydzianą słomę, odpędzając od czasu do czasu muchy batem z surowej skóry. Zawołał na jedną z kobiet, swą żonę:

- Ninna, jestem głodny! Czy już gotowe guisado?\*
- Jeszcze nie - odparła Indianka.

---

\* Guisado - rodzaj ragóut, mięso duszone, gulasz



- Przynieś mi więc tortiiię z długim pieprzem.
- Długiego pieprzu nie mamy w domu.
- Zbliź no się, Ninna - rozkazał wtedy Zambo.

Kobieta podejrzliwie podeszła do huśtawki. Zambo milczał i leżał nieruchomo, dopóki się nie zbliżyła. Trzymał knut za plecami i gdy żona znalazła się w odpowiedniej odległości, począł walić ją z całej siły batem po krzyżu i plecach okrytych tylko koszulą. Nieszczęśliwa milcząc znosiła okrutną karę i dopiero po kilkunastu uderzeniach odeszła od huśtawki.

- Teraz, moja droga, spodziewam się, że podasz mi tortiiię z długim pieprzem, gdy tego zażądam. - To rzekłszy rozwalony na huśtawce Zambo roześmiał się śmiechem podobnym do ryku zwierzęcia. Mulat przyłączył swój głos do jego dzikiej wesołości, ponieważ w podobnych okolicznościach postąpiłby ze swoją żoną nie inaczej.

Na tę chwilę nadszedł Roblado. Obaj myśliwi wstali i przywitali go grzecznie. Znali kapitana. Mulat jako człowiek silniejszy fizycznie i moralnie rozpoczął cichą rozmowę w obawie przed ciekawością kobiet i Estebana. Myśliwi zgodzili się wytropić Carlosa, zabić go lub wziąć żywcem. W pierwszym przypadku wynagrodzenie było duże, w drugim zwiększało się w dwójnasób. Roblado zaproponował garnizon do pomocy, lecz mężczyźni stanowczo odmówili. Nie mieli najmniejszej ochoty dzielić się z kimkolwiek hojną nagrodą.

Spełniwszy swoje zadanie kapitan wrócił do warowni, a myśliwi w nadziei na dobry zarobek postanowili natychmiast ruszyć w drogę.

## ROZDZIAŁ XXV

### POLOWANIE NA CZŁOWIEKA

W pół godziny Mulat Manuel i Zambo Pepe byli już gotowi. Właściwie wystarczyłoby im piętnaście minut, lecz jedli obiad i palili cygara dopóty, dopóki ich konie nie pokrzepiły się zielonymi liśćmi kukurydzy.

Manuel uzbroił się w długi karabin i nóż z dwustronnym ostrzem, tak strasznym w ręcznym boju. Oręż swój przywiózł z doliny Missisipi, którym też nauczył się tam - w swojej ojczyźnie - władać. Pepe miał sztucer przywiązany w poprzek siodła. U boku wisiał mu długi nóż, na plecach łuk i kołczan ze strzałami, broń wprost nieoceniona w wielu wypadkach. Prócz tego myśliwi mieli za pasem pistolety i długie lassa namotane na łąki siodła.

Pożywienie na drogę składało się z tasajo i chłodnych tortiiias zawiniętych w zamszową skórę. Bukłaki z wodą, prochownica i tor-by dopełniały ich wyekwipowania. Za nimi biegły dwa psy: miejscowy i hiszpański ogar, których wygląd był równie dziki i okrutny, jak samych myśliwych.

- Jaką drogą jedziemy? - spytał Zambo. - Czy zjeżdżamy do Pecos?

- Nie, Pepe, przede wszystkim ruszamy na górę, a potem pojedziemy dokoła zwykłą drogą, a wreszcie spuścimy się do Pecos. Co prawda, nakładamy nieco, ale możemy być pewni swego. Gdyby nas ujrzano w nizinach, domyślano by się celu naszej wyprawy i mogło-by nas spotkać fiasko.

- Na szatana! - zawołał Pepe. - To ciężka wspinaczka. Mój koń do tego stopnia zmęczył się gonitwą za bizonami, że ledwo porusza nogami.

Gdy dotarli do wylotu wąwozu wiodącego do doliny pomiędzy dwiema ścianami, stanęli i dłuższą chwilę patrzyli przed siebie. Zjazd był bardzo stromy, prawie prostopadły, niedostępny dla innych koni prócz mustangów, które - wyrosłe w górach - pokonują skały jak koty. Mężczyźni zsiadli z siodła i prowadząc konie za uzdy weszli na wzgórze, na którym nieco odpoczęli, po czym skierowawszy się na północ szybko wjechali na równinę.

- Słuchaj, Pepe - warknął Mulat. - Jeżeli natkniemy się przypadkowo na pastuchów, polujących na antylopy, to wiesz, co zrobimy?

- Wiem, Manuelu.

To były jedyne słowa, które zamienili z sobą w ciągu wielu mil. Mulat jechał na przedzie, Zambo podążał za nim, a psy stanowiły ariergardę\*. W ten sposób dotarli w okolice Pecos i tu w

---

\* Ariergarda - tu: tylna straż

niewielkim zagajniku, przywiązawszy konie do drzew, rozłożyli się na trawie, aby wypocząć, choć chude i wyglądające niepozornie zwierzęta miały doprawdy żelazną wytrzymałość, właściwą swej rasie. Przebiegłszy trzydzieści mil po wcześniejszej dłuższej podróży nie wyglądały na zmęczone. I prawdopodobnie w razie potrzeby mogłyby jeszcze przebiec sto mil.

Myśliwi wiedząc o tym, wyruszyli na polowanie na Carlosa z dużą pewnością siebie.

- Wiesz co - odezwał się Mulat patrząc na mustangi. - Na naszych koniach dogonimy z łatwością karego konia Carlosa. Carlos ukrył się w jaskini. To jest jedyne miejsce, gdzie może się schronić i gdzie żołnierze by go nie znaleźli, bo zdolni są jedynie do spacerów po mieście. Pomimo tylu szpiegów Carlos przyjeżdża sobie i wyjeżdża, kiedy chce. Zapewne w grocie przed niepowołanymi oczyma ukrywa też swego konia. Lecz kiedy w niej przebywa, tego nie wiemy, ale możemy zastawić na niego pułapkę.

- Na pewno siedzi w jaskini za dnia.

- I ja tak myślę, Pepe. Wychodzi dopiero nocą i nocą spotyka się z Antoniem gdzieś tu w okolicy, w umówionym miejscu.

- No więc śledźmy Antonia - zaproponował Pepe.

- To na nic, Pepe. Po pierwsze mielibyśmy przeciw sobie dwu, a po drugie Metys to mój przyjaciel, któremu źle nie życzę. Dlatego zajmijmy się tylko Carlosem pamiętając, że korzystniej złapać go żywcem, aniżeli zabić: komendant i kapitan chcieliby asystować w jego straceniu.

- Manuelu, czy do tej jaskini można się zbliżyć niepostrzeżenie za dnia?

- Nie dalej jak na milę. Gdyby spał, to oczywiście dużo bliżej.

- A jeżeli nas z daleka zobaczy?

- Wyjedzie na równinę, a wtedy trzy dni stracimy na poszukiwanie go i mało prawdopodobne, że w ogóle go znajdziemy.

- Posłuchaj mnie, Manuelu. Pod osłoną nocy przybliżmy się do wąwozu i ukryjmy w zasadzce. A gdy tylko się ukáže, pošlijmy mu na spotkanie kulę.

- Pepe, po cóż mamy tracić połowę nagrody zabijając wroga lub wypłoszyć ptaszka w razie chybienia w mroku. Musimy go wziąć żywcem.

- Przyszła mi do głowy jeszcze inna myśl - odparł Zambo. Pozostawmy Carlosa w spokoju. Niech opuści jaskinię, a gdy się oddali, pójdziemy do niej i w środku zaczekamy na jego powrót. Co powiesz na to?

- Doskonały pomysł! Najlepszy sposób schwywania go! Zatem ruszamy do jaskini! Słońce już zachodzi, więc czas najwyższy.

Myśliwi siedli na koń i pojechali w stronę Pecos. Ponieważ w tym miejscu nie było brodu, niewiele myśląc przebyli rzekę wplaw. Wieczór był chłodny, lecz oni - nawykli do różnych

temperatur - jednakowo obojętnie znosili i żar, i zimno. Nie dbając o to, że ich ubranie jest mokre, skierowali się ku wyżynom Liano Estacado, skręcili potem w prawo i jechali wzdłuż podnóża skał. Po pół godzinie dosięgli kotliny, w którą spadły byki don Juana. Kości zwierząt bieleły teraz na dnie obgryzione przez wilki, niedźwiedzie i sępy.

Myśliwi zatrzymali się, wprowadzili konie między skały i weszli na cypel sterczący nad kotliną. Z kanionu nie można było wyjść inaczej, jak tylko przez wąskie przejście, z którego w miarę podchodzenia Mulat i Zambo nie spuszczała oka, gdyż przypuszczali, że Carlos mieszkał w jaskini znajdującej się w tym jarze. Ich zamiarem było wejście do jaskini po opuszczeniu jej przez Carlosa i schwytanie zbiega po jego powrocie do grotty.

## ROZDZIAŁ XXVI

### JASKINIA

Zgodnie z domysłami myśliwych Carlos rzeczywiście znajdował się teraz w jaskini, którą obrał sobie za miejsce pobytu. Było to schronienie bezpieczne, w dużej odległości od doliny. Zazwyczaj o zmierzchu wyjeżdżał z wąwozu, wracał przed świtem, ażeby później spać aż do wieczora. Nie bał się żołnierzy. Mógł ich z daleka zobaczyć, gdyż z jaskini widać było i kotlinę, i jej okolice. Gdyby oddział nawet wjechał na drogę wiodącą do pieczary, to i wtedy mógł się wymknąć wąskim przejściem, prowadzącym na równinę. Ścieżka była tak stroma, niemal prostopadła, że na pierwszy rzut oka zdawała się niedostępna, lecz nie dla mustanga Carlosa. Wyjechawszy na swym koniu na płaskowyż Liano Estacado zbieg mógł się nie obawiać pościgu i prześladowców.

Najmniej bezpieczny był o zmierzchu i w dzień, gdy spał, lecz nie niepokoił się tym, ufając czujności Hektora. Pies pomimo rany, otrzymanej w ostatnim zajściu, umiejętnie leczony, szybko zdrowiał. Mądre zwierzę podczas snu pana kładło się przy wejściu do jaskini, gotowe dać sygnał trwogi w razie zbliżenia się wroga.

Jaskinia była obszerna i bardzo wygodna. W głębi sączyła się pośród kamieni przezroczysta woda i ściekała w naturalny basen, lecz tak prawidłowy, jak gdyby zrobiony był ludzkimi rękoma. Podobne formacje nie należą do rzadkości w Nowym Meksyku. Takie rezerwuary wody źródlanej znajdują się też w jaskiniach gór Waco i Gwadelupy, które leżą bardziej na południe.

W tej samotni, w której się znajdował, jedynymi radośniejszymi chwilami Carlosa były spotkania z Antoniem, który przynosił mu nowiny. Metys wiedząc, że gdyby stale chodził w stronę jaskini, mógłby na nią naprowadzić szpiegów, umawiał się z Carlosem zawsze na brzegach Pecos.

Józefa mówiła mu o wszystkim, co się działo w domu don Ambrosia, tak więc o tym, że ojciec Cataliny trzymał córkę pod kluczem, że Roblado powoli przychodził do siebie po otrzymanej ranie, że oddziałami, które wysyłano za zbiegiem, dowodzili nowi oficerowie, ściągnięci wcześniej z Hiszpanii.

Carlos, powiadomiony o ścisłej obserwacji swego domu, bolał nad tym, że musi zaniechać odwiedzin matki i siostry. Wiadomości o nich miał jedynie przez Antonia. Łudził się nadzieją, że uda mu się zorganizować ich ucieczkę, zanim rana pułkownika zupełnie się nie zagoi. Myślał też po całych nocach o uwolnieniu Cataliny. Dziś także niecierpliwie czekał godziny zmroku, aby udać się na spotkanie z Antoniem.

Zapadła noc. Sprowadziwszy mustanga za uzdę ze stromego zjazdu ciągnącego się od wyjścia z jaskini, Carlos wskoczył na siodło i wyjechał z kanionu. Przed nim biegł Hektor.

## ROZDZIAŁ XXVII

### WYCIECZKA CARLOSA

Myśliwi nie czekali długo. Aura im sprzyjała. Niebo pokrywały gęste chmury, przez które tylko od czasu do czasu przeświecał księżyc. Nie było prawie wiatru, a dzięki temu najmniejszy dźwięk niósł się na ogromną odległość. Przyczaiwszy się za głazami Manuel i Pepe milczeli lub rozmawiali szeptem.

Obok siebie trzymali psy i konie, przyzwyczajone do tego, aby zachowywać się cicho w razie potrzeby. Spokój nocy przerywały tylko niekiedy ryki szarego niedźwiedzia, szczekania kujota, krzyki sowy, wampira lub olbrzymiego nietoperza. Mężczyźni wyteżyli oczy i zamienili się w słuch. Baczenie obserwowali równinę i kanion, obmyślając plan ataku, gdyby Carlos, wbrew ich przewidywaniom, spał nocą, a zdecydował się wyjść z kryjówki w ciągu dnia.

Nagle do ich uszu doszedł stuk kopyt końskich o kamieniste dno wąwozu.

- To chyba on! - szepnął Zambo.

- Zgadłeś - odparł również cicho Manuel. - Mieszka więc w jaskini i schwytamy go po powrocie.

W tej chwili zza obłoków ukazał się księżyc i w jego blasku ujrzeli w oddali zbliżającego się jeźdźca.

- Manuelu - zaczął znów Zambo. - A gdyby tak, gdy będzie przejeżdżał w prostej od nas linii, wziąć na cel jego konia? Trafimy w niego na pewno. A wtedy białowłosey nasz!

- Nie, Pepe, ucieknie, schowa się wśród skał i szukaj wiatru w polu! Trzymajmy się lepiej planu.

- Ale...

- Żadne ale! Zawsze jesteś niecierpliwy, Pepe. Choć raz postąp-my rozsądnie. A pieniądze nasze.

Pomysł Zambo rzeczywiście nie był najlepszy, ponieważ jeździec nie miał zamiaru zbliżyć się na strzał karabinowy. Trzymał się w równym dystansie od obu ścian kanionu, na dwieście kroków od kryjówki myśliwych. Carlos podążał wolno. Jego broń błyszczała w świetle księżycy, w mroku nocy jego skóra i włosy wydawały się jeszcze bielsze.

- Zobacz! - rzekł nagle Zambo. - Widzisz przed nim psa? - spytał.

- Rzeczywiście! A żeby go diabli wzięli. Na szczęście wiatr wieje nie na nas.

W tej chwili jeździec zatrzymał konia i podejrzliwie rzucił okiem na wyniosłość, za którą przyczaili się myśliwi. Hektor zawarczał.

- Przeklęty pies! - powtórzył Mulat.

Hektor bez wątpienia zwęszyłby cel, gdyby lekki wiaterek nie wiał w stronę przeciwną. Zostaliby zauważeni. Carlos nic nie słyszał, ale może nieuchwytny dla ludzkiego ucha stuk końskich kopyt wzbudził czujność Hektora. Jednak pies nie mając pewności zwiesił po chwili głowę i pobiegł dalej. Łowca bizonów podążył za nim. Wkrótce zniknął na równinie.

- Wszystko nam sprzyja, Pepe, choć ten pies mnie drażni.

Chodźmy do jaskini! - rozkazał Manuel.

Spuściwszy się do wąwozu myśliwi siedli na koń i ruszyli ścieżką, po której tylko co jechał Carlos. Czujnie rozglądali się dokoła.

Gdy wejście do jaskini zarysowało się ciemną plamą na białym tle skał, myśliwi zeszli z koni i Manuel zaczął badać otoczenie. Doświadczony myśliwy chciał przewidzieć każdą okoliczność, dlatego działał nadzwyczaj ostrożnie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa jaskinia powinna być pusta, lecz mogło się i tak zdarzyć, że Carlos pozostawił w niej kogoś. Toteż Mulat puścił najpierw psy, a gdy te wróciły spokojne z jaskini, wywnioskował, że nie ma niebezpieczeństwa, i wszedł do pieczary. Zapalił głównię i zaczął zwiedzać wnętrze, starając się tak trzymać światło, aby nie było widoczne z zewnątrz. Uspokojony rekonesansem dał znak druhowi, aby ten wszedł razem z końmi. Urządziwszy w kącie stajnię, myśliwi zajęli się dalszą penetracją jaskini.

Na jednym z kamieni znaleźli chleb, kawałki mięsa suszonego na słońcu, gliniany garnek, toporek do rąbania drzewa, płaszcz i kilka kubków. Przekonawszy się, że nie ma innego pomieszczenia, zgasili ogień i na podobieństwo krwiożerczych bestii przyczaili się w oczekiwaniu na swą ofiarę.



## ROZDZIAŁ XXVIII

### ROZMOWA Z ANTONIEM

Carlos opuszczając jaskinię zachowywał zwykle wzmożoną ostrożność, tej nocy jednak podwoił nawet czujność. Nie zaniechał obejrzenia ani jednego krzaczka czy większego kamienia, za którym mogli-by się ukryć wrogowie. Nie opuszczała go bowiem myśl o znanej powszechnie nienawiści, jaką czuli do niego dwaj dostarczyciele bizonich ozorów, i obawa, że koniec końców zostaną użyci przeciw niemu. Ci dwaj byli groźniejsi od całego garnizonu pod dowództwem najbardziej doświadczonych oficerów. Wiedział, że jeżeli Mulat i Zambo podejmą się ścigać go, to jego łączność z doliną i Antoniem zostanie znacznie utrudniona, poza tym straci bezpieczne i wygodne schronienie.

Przypuszczał jednak, że ci wytrawni myśliwi nie wrócili jeszcze z łowów, a do tego czasu spodziewał się zakończyć swoje sprawy i porzucić nieprzyjazne mu strony. Tego ranka utracił i tę nadzieję.

Zeszłej nocy Antonio, w obronie przed szpiegami, stawiał się na spotkanie bardzo późno i już świtało, gdy Carlos wracał do jaskini. Po drodze zauważył ślady koni, mułów i psów wiodące od północne-go krańca Liano Estacado. Liczba zwierząt odpowiadała tej, jaką posiadali myśliwi.

Czyżby już powrócili ze stepów? - zaniepokoił się Carlos. Począł uważnie oglądać ślady i psie tropy upewniły go w tym. Podeszwy bowiem nóg jednego z nich znacznie różniły się od innych. A Carlos wiedział, że Mulat niedawno nabył hiszpańskiego ogara. Łowca po-szedł po śladach do ścieżki, która prowadziła ku kotlinie. Tu ku największemu zdumieniu zauważył, że jeden z jeźdźców odłączył się i w asyście psów pojechał w kierunku wąwozu. Nie było więc wątpliwości, że myśliwi mieli go na oku. Carlos zauważył też, że jeden z mężczyzn wrócił wkrótce na drogę i cały orszak skierował się do San Ildelfonso. Okoliczność ta przeszkodziła mu w przeprowadzeniu dokładniejszej penetracji. Nastął dzień i musiał wrócić do jaskini.

Lecz stracił dotychczasowy spokój i pewność siebie. Nie mógł długo zasnąć. Powrót myśliwych wprowadził go w zły nastrój. Mogli pokrzyżować jego plany. Toteż gdy tej nocy opuścił jaskinię i Hektor począł warczeć, zatrzymał konia, aby poznać przyczynę niepokoju psa, ale nie dostrzegłszy nic podejrzanego, puścił konia stępa. Może jakieś dzikie zwierzę - pomyślał.

Po godzinie znalazł się nad brzegami Pecos. Zjechał w dół rzeki i zatrzymawszy się w pewnej odległości od niskiego zagajnika, puścił Hektora na rekonesans. Wierny pies skrupulatnie spełnił polecenie, obwąchał krzaki i powrócił do pana nie wydawszy najmniejszego dźwięku. Wtedy Carlos zeskoczył z konia i pod osłoną gęstych drzew postanowił czekać na Antonia. Po

kilku minutach na równinie ukazał się człowiek. Carlos po zgarbionej sylwetce poznał Antonia, ale dla pewności czekał na umówiony sygnał. Gdy tamten gwizdnął, Carlos odpowiedział mu w ten sam sposób. Wtedy Antonio podszedł do niego.

- Cóż, bracie, szpiegowali cię? - spytał Carlos.

- Jak zwykle. Ale szybko się ich pozbyłem.

- Teraz będzie ci już dużo trudniej. Wiem, jakie przynosisz mi nowiny: Mulat i Zambo powrócili ze stepów.

- To prawda. Skąd pan wie? - zdziwił się Antonio.

- Dzisiaj nad ranem, rozstawszy się z tobą, widziałem świeże ślady na drodze.

- Tak, są od wczoraj. Ale mam jeszcze gorszą wiadomość.

- Jaką?

- Oni już pana tropią.

- Domyślałem się, że to zrobią, lecz nie przypuszczałem, że stanie się to tak prędko. Od kogo o tym wiesz, Antonio?

- Od Józefy, której brat Esteban, nie wiedząc, w jakim celu kapitan chce się tam dostać, zgodził się za zapłatą zaprowadzić Roblada do chaty myśliwych. Po powrocie pochwalił się przed matką srebrną monetą i to wzbudziło podejrzenia. Józefa tak długo męczyła brata, aż wszystko wygadał. Co prawda nic nie udało mu się usłyszeć z rozmowy Roblada z myśliwymi, lecz zdawało mu się, że ci zaczęli się szykować do wyprawy. Z tego wniosek, że oni pana tropią.

- Nie ma najmniejszej wątpliwości. Muszę więc porzucić moją kryjówkę, o której zapewne wiedzą. Znajdę sobie inną, a łotrom nie dam się złapać, o, nie. Dobrze, żeś mnie uprzedził. Co jeszcze nowego?

- Nic ciekawego. Señorita ciągle pozostaje pod bardzo surowym dozorem, lecz spodziewamy się od niej wkrótce wiadomości. Józefa pójdzie do żony odźwiernego.

- Wierny Antonio - rzekł Carlos wręczając mu pieniądze. Oddaj to Józefie i poproś, żeby podwoiła swoje starania. W niej cała moja nadzieja.

- Niech pan będzie spokojny - odparł Metys. - Józefa zrobi, co tylko będzie w jej mocy, ażeby panu pomóc. Ona jest mi bardzo oddana - dodał z uśmiechem.

- No, no, a może to tylko chęć z twojej strony - rzucił Carlos żartobliwym tonem. Potem zaczął wypytywać o siostrę, o matkę, o żołnierzy i szpiegów, lecz Antonio nic nie wiedział nowego w tych sprawach.

- A co z don Juanem?

- Siedzi ciągle w więzieniu.

- I o cóż go obwiniają?

- O współnictwo z panem. Jak już mówiłem, został aresztowany w kilka dni po wypadkach w warowni i proces odkłada się do czasu pojmania pana.

- Będą musieli długo na to czekać.

- I ja tak myślę.

- Mulat i Zambo są doświadczeni i zręczni, lecz teraz - gdy wiem, że mnie tropią - potrafię ich wyprowadzić w pole. Muszę szybko wracać do jaskini. Daj mi żywność i rozstańmy się. Czekaj tu na mnie jutro wieczorem. Będę punktualnie! Spokojnej nocy, przyjacielu.

- Spokojnej nocy!

Rozstali się i każdy z nich udał się w swoją stronę.

## ROZDZIAŁ XXIX

### HEKTOR

Carlos był dzielnym, wręcz nieustraszonym młodzieńcem, lecz wiadomość otrzymana od Antonia nie mogła nie wywołać w nim obaw.

Od chwili, gdy dowiedział się o grożącym mu niebezpieczeństwie, bezustannie przemyślał nad sposobem wymknięcia się z zastawionych przez dwóch wytrawnych myśliwych sideł. Gdyby doszło do otwartej walki, pomimo ich siły i doświadczenia mógłby jeszcze liczyć na powodzenie, ale w grę wchodziła napaść znieca, z ukrycia, musiał więc strzec się wszelkich podstępów, przewidzieć plany wroga.

Jeżeli natychmiast - myślał - po rozmowie z Robladem, jak przypuszcza Esteban, udali się na wyprawę, to mieli dość czasu, aby już przybyć do kanionu. Chwała Bogu, że jeszcze zdążę przedsięwziąć pewne środki ostrożności. Wjechawszy do kotliny Carlos za-trzymał konia, wnikliwie lustrując wejście do wąwozu. Lecz księżyc schował się za chmury i dokoła panował głęboki mrok.

- A może - rzekł sam do siebie - ukryli się w najwęższym miejscu? I ten podstęp im się nie uda. W każdym razie powinienem jechać dalej. A Hektora wyślę na rekonesans i gdziekolwiek się schowają, nie na wiele to się zda. Hektor tu!

Pies zawrócił i patrzył chwilę w oczy pana. Carlos zrobił znak ręką i powiedział:

- Idź!

Zwierzę pobiegło we wskazanym kierunku obwąchując każdy odcinek drogi. Carlos podążył w pewnej odległości za nim zachowując dużą ostrożność. Tak zbliżyli się do miejsca, w którym obie ściany zwężyły kanion. Po obu stronach podnóża skał piętrzyły się wielkie kamienie, za którymi łatwo mogło się ukryć kilku ludzi z końmi.

Gdyby mieli zamiar podstępnie mnie zabić - pomyślał łowca na pewno wybraliby to przejście. Lecz Hektor milczy...

- Aha?!

Ten okrzyk spowodowało głośne szczekanie psa. Gdy księżyc wyjrzał zza obłoków, Carlos ujrzał psa szybko biegnącego po kamieniach do jaskini. Dowodziło to, że węch zwierzęcia odkrył coś nad-zwyczajnego. Wkrótce pies zniknął w mroku.

- Są w jaskini! - domyślił się Carlos.

W tej chwili Hektor znów odezwał się kilka razy. Carlos schował się i postanowił zaczekać, aż pies wróci lub też może rzuci się na coś, co zwróciło jego uwagę. Mogło się przecież” zdarzyć, że to był kujot lub szary niedźwiedź.

Milcząc nieruchomo stał na swoim miejscu, gotów do obrony w razie potrzeby. Pod ręką miał swój długi karabin. Sprawdził jego panewkę i czujnie wsłuchiwał się w najmniejszy szmer chciwie wpatrując się w ciemny wąwóz. Kilkanaście sekund trwało to oczekiwanie i niepewność, gdy nagle drgnął, bo usłyszał w głębi hałas podobny do walki zwierząt. Czyżby jednak niedźwiedź?

Zaledwie ta myśl przemknęła mu przez głowę, gdy rozległy się głosy kilku psów, wśród których rozpoznał dźwięczne ujadanie hiszpańskiego ogara. Sytuacja się wyjaśniła. Manuel i Pepe byli w jaskini i stamtąd dochodziły te dźwięki. W pierwszym odruchu Carlos zamierzał zawrócić, ale powstrzymał się na moment i począł nasłuchiwać. Psy ujadły wściekle, lecz to nie przeszkodziło mu w rozpoznaniu ludzkich głosów, które rozkazywały im milczenie. Zwierzęta uspokoiły się w jednej chwili z wyjątkiem hiszpańskiego ogara, który głośno warczał jeszcze jakiś czas.

Carlos pomyślał, że Hektor albo został zabity, albo uciekł. Tak więc nie było sensu czekać na jego powrót. Pewny, że zobaczy się z psem, o ile ten pozostał żywy, Carlos puścił się galopem w dół.

## ROZDZIAŁ XXX

### PRZEKLĘTY PIES

Zatrzymał się koło skał, w miejscu, gdzie kilka godzin temu myśliwi czekali, aż opuści jaskinię. Nie schodząc z konia stał ze wzrokiem, skierowanym czujnie na drogę wiodącą z wąwozu. Nagle dojrzał coś ciemnego. W zbliżającej się wolno ku niemu masie z radością rozpoznał Hektora. Biedne zwierzę otrzymało kilka ran i krwawiąc wlokło się z trudem.

- Przyjacielu! - zawołał na jego widok Carlos. – Uratowałeś mi życie, teraz na mnie kolej, abym spłacił dług i pomógł tobie.

Zszedłszy z konia wziął psa na ręce, umieścił przed sobą na siodle i począł spoglądać na wąwóz lada chwila oczekując napaści. Ponieważ w całej okolicy nikt nie miał hiszpańskiego ogara prócz Mulata, obecność psa była dowodem przebywania w jaskini jego pana, a tym samym nierozłącznego z nim Zambo.

- Schowam się w lesie - zdecydował po krótkim namyśle łowca. - I tam zostanę do przyjścia Antonia, po ciemku nie znajdą moich śladów... O, Boże, co ja mówię? Zapomniałem o ogarze. Te łotry mogą mnie wytropić nawet wśród najciemniejszej nocy!

Carlos najpierw się zaniepokoił, potem - coraz bardziej opadając z sił od ciężaru Hektora i wyczerpany smutnymi myślami – zaczął wpadać w rozpacz.

Lecz nie trwało to długo. Szybko się otrząsnął z tego i z nową energią pomyślał o swych szansach w nierównej walce, od której zależało jego istnienie. Przede wszystkim dlatego, że zrodził się w je-go głowie plan rokujący pewne nadzieje.

- Tak - rzekł sam do siebie - las da mi schronienie. Słyszysz, krwiożerczy Mulacie, ze swej zręczności, poddam ją wobec tego próbie. Jeżeli otrzymasz nagrodę, o którą się starasz, to przynajmniej drogo cię to będzie kosztowało, bo niełatwo oskalpujesz Carlosa, łowcę bizonów.

Ujął upuszczone lejce, usadowiwszy wygodniej psa, po czym puścił się galopem, nie spojrzawszy ani razu za siebie.

Tymczasem dwaj myśliwi przyczaili się u wejścia do jaskini z dwóch stron, za kamieniami, aby na podobieństwo tygrysów rzucić się na swą zdobycz. Wszystko zapowiadało powodzenie: i tajemnica pokrywająca ich wyjazd, i cierpliwość, z jaką śledzili ruchy Carlosa, i pomysł urządzenia zasadzki w samej grocie. Sądziło, że zbieg nie mógł nawet podejrzewać ich obecności.

- Idzie nam doskonale - rzekł zza swego kamienia cicho Zambo. - Jak tylko się zbliży prowadząc za sobą konia, rzucimy się i zwiążemy go, zanim zdąży podnieść karabin.

- Tak - zgodził się równie cichym głosem Manuel. - Tylko mnie niepokoi ten przeklęty pies. Jeżeli zbliży się pierwszy do jaskini, to uprzedzi swego pana i wszystkie nasze zabiegi do niczego nie doprowadzą. Cała zasadzka wtedy się uda, jeżeli pozostanie w tyle. Albo jeśli wejdą razem, a pies nie ostrzeże szczekaniem Carlosa.

Ponieważ z zewnątrz nic nie zapowiadało zbliżania się łowcy, myśliwi na chwilę opuścili swe pozycje i poczęli się pożywiać skromną żywnością pozostawioną w jaskini. Czując chłód, Mulat odszukał płaszcz i zarzucił go sobie na plecy, a Zambo wyjął tykwę z wódką lichego gatunku i pociągnął kilka łyków. Gadaniną starali się zabić nudę oczekiwania i pewien niepokój z powodu obecności Hektora. Od czasu do czasu któryś z nich podchodził do wyjścia i spoglądał w wąwóz.

- Nic nie widać - rzekł Manuel po jednej z takich obserwacji. - Północ jeszcze daleko, dlatego mamy dużo czasu. Zbieg zapewne wałęsa się w okolicach kolonii, spóźni się i wróci dopiero o świcie.

To rzekłszy spojrzął po raz ostatni w kanion i w tym samym momencie drgnął, po czym zawołał na Pepe:

- Jest! Pepe! Oto i białołowy!

Aczkolwiek było ciemno, Zambo ujrzał jeźdźca zbliżającego się z równiny do najwyższej części wąwozu.

- Do diabła! Mamy go!

- Idź na swoje miejsce, Pepe. Trzymaj psa za sobą i schowaj się za kamień, ja zaś przyczaję się z drugiej strony.

Zambo zrobił to, a Mulat, wzięwszy ogara na smycz, przywarł do skały. Po kilku sekundach zawołał:

- Wszystko na nic, Pepe! Przeczuwałem to. Pies wytropił nasze ślady.

- Do diabła! I co teraz?

- Czym prędzej do środka. Zabijemy go w jaskini.

Obaj myśliwi przyczaili się za kamieniami chcąc rzucić się na psa i udusić go przy wejściu, lecz ostrożne zwierzę zwiwszy niebezpieczeństwo, przystanęło w pewnej odległości i poczęło głośno szczekać.

Rozwścieczony Mulat z nożem w ręku wypadł na spotkanie Hektora i w tejże chwili to samo uczynił ogar. Pomiedzy dwoma psami rozgorzała zażarta walka i zakończyłaby się źle dla ogara, gdyby z pomocą nie pospieszili mu Mulat, Zambo i drugi pies. Mając tylu wrogów pokłuty w kilku miejscach nożem i pogryziony, Hektor zdecydował się na odwrót. Nikt za nim nie gonił.

Myśliwi łudzili się jakiś czas, że Carlos nie domyśliwszy się, o co chodzi, zbliży się do jaskini. Lecz kiedy ujrzeli, że zbieg odjechał z powrotem, w grocie zadudniło od strasznych przekleństw i złorzeczeń. Uspokoiwszy się po chwili zastanawiali się, co robić dalej.

- Może puścić się za nim? - zaproponował Pepe.

- Jaki w tym sens? Zanim się przedostaniemy na równinę, będzie daleko.

Zrozumiawszy, że ścigany Carlos wymknął się, znów wpadli w rozpacz. Jeremiady swoje przerywali przekleństwami rzucanymi na Hektora. Zmęczony wreszcie bezproduktywnym gadaniem, poczęli obmyślać plan działania.

- Moim zdaniem - rzekł Zambo - powinniśmy tu zostać do jutra. Nocą nie mamy najmniejszych szans odnalezienia zbiega, za dnia zaś łatwo wytropimy jego ślady.

- Jakiś ty głupi, Pepe! Mielibyśmy za dnia pokazywać się na równinie. To by oznaczało popsucie całej sprawy.

- Więc co radzisz, Manuelu?

- Puścić jego śladem ogara, ten szybko go odszuka.

- Ale jeśli Carlos zatrzyma się nie bliżej niż dziesięć mil stąd, to jak go dopędzimy?

- Z każdą godziną stajesz się głupszy, przyjacielu Pepe. Carlos, nie wiedząc o istnieniu mojego ogara, zatrzyma się niedaleko stąd. Ten przeklęty pies! To dopiero urządził nam kawał!

- Już po nim.

- Tak myślisz, Pepe?

- Wsadziłem mu nóż w brzuch i zaręczam, że zdechnie blisko stąd.

- Dałbym ci za to dwie uncje złota, Pepe! Bez psa Carlos, który musi się znajdować w naszym sąsiedztwie, nie ujdzie nam tak łatwo. Dopędzimy go przed świtem, bo nie spodziewa się nas.

- Sądzisz, że jest tak blisko?

- Na pewno. Bo dokąd ma iść? Jego tropem pójdzie ogar i za-skoczmy go we śnie, bezbronny, jeżeli tylko nie będzie z nim tego przeklętego psa.

- Bądź o to spokojny. Mojego ciosu na pewno nie przeżył.

- W takim razie jego pan w naszych rękach. Chodźmy!

Z tymi słowami Mulat począł sprowadzać konie w wawóz, a za nim podążył i jego kamrat.



## ROZDZIAŁ XXXI

### ŚPIĄCY CZŁOWIEK

Dotarłszy do miejsca, w którym zniknął Carlos, Mulat przywołał ogara, rzucił mu parę słów zachęty i wskazał ręką kierunek. Zwierzę pojęło, czego od niego żądają, wetknęło nos w ziemię i milcząc ruszyło naprzód. Myśliwi szli w niewielkiej odległości za nim, aczkolwiek nie było księżyca.

Ruda sierść psa ostro odznaczała się na tle niskiej trawy; ogar był doskonale wytresowany do ostrożnego, cichego tropienia po nocy, właściwego jego rasie.

W dwie godziny później myśliwi znaleźli się w pobliżu lasu rosnącego na wzgórzu - tu w gęstwinie znalazł schronienie zbieg.

- Pepe! - odezwał się Manuel. - Nasz pies kieruje się do zalesionego pagórka. Stawiam uncję, że tam jest ten ptaszek.

Niebo zachmurzyło się tak bardzo, że można było tylko odróżnić niewyraźne kontury kamiennych dębów i topoli. Mulat odwołał psa i kazał mu iść z tyłu.

- Dlaczego mu przeszkadzasz? - spytał Zambo.

- Bałwanie! Czy Carlos jest na wzgórzu czy go nie ma?

- To się samo przez się rozumie, że ukrywa się w lesie.

- Więc jeżeli siedzi tam, nie potrzebujemy psa; jego obecność mogłaby tylko ostrzec zbiega przed grożącym mu niebezpieczeństwem, jeżeli zaś go nie ma, to jeszcze zdążymy odnaleźć jego ślady i pójść tym tropem.

- Jesteś bardziej doświadczony ode mnie - przyznał Pepe. Zupełnie zdaję się na ciebie.

Mulat zamiast iść prosto, począł obchodzić las i trafił na wydeptaną ścieżkę.

- Co ja widzę! - zawołał nagle wstrzymując konia.

Pośrodku polany płonął wysoki ogień.

- I cóż? Nie mówiłem ci - rzekł z przechwałką w głosie Manuel. - Dureń zasnął i ani podejrzewa, że go śledzimy. Uważając, że jest bezpieczny, pozwolił sobie nawet na zapalenie ogniska, aby się zabezpieczyć przed chłodem nocy. Nie pomyślał bałwan o tym, że ogień można zauważyć z dwóch stron. O, widzisz, oto i jego koń.

W blasku ognia dostrzegli pięknie rysujące się z daleka kształty mustanga należącego do Carlosa.

- Zaiste, myślałem, że ma więcej rozumu - ciągnął Mulat.. Patrz, gdzie on śpi!

Rzeczywiście, w pobliżu ułożonego stosu zobaczyli niedbale rozciągniętą ludzką postać.

- Najświętsza Panno! - szepnął Zambo. - Nie mógł postąpić nierozsądniej. Naturalnie nie sądził, że możemy go tropić w taką ciemną noc.

- Tst! Nie ma przy nim psa. Białołłosy nasz! Milcz, kamracie Pepe, i naprzód!

Z tymi słowami Mulat skierował konia do brzegu Pecos, w pewnej odległości od podnóża pagórka, a Zambo podążył za nim. Dotarłszy do rzeki i przywiązawszy do topoli konie i psy, myśliwi skierowali się do zagajnika, zachowując wszelkie środki ostrożności, nieomal przytłamszy oddechy.

Było cicho, wiatr zaledwie poruszał liśćmi drzew i słychać było tylko szmer fal, daleki szum wodospadu, wycie stepowych wilków i krzyki ptaków nocnych. Na polanie panował zupełny spokój.

Jaskrawy blask ognia pozwalał przybyłym rozpoznać już wyraźniej konia i zbiega, który zasnął tuż obok. Drugi koniec lasa, zarzuconego na szyć zwierzęcia, bez wątpienia owinał Carlos wokół ręki. Leżał w butach, w płaszczu i kapeluszu.

Nagle koń się strwożył, uderzył kopytem o ziemię. Czyżby poczuł obecność obcych? Rzeczywiście. Niemal zaraz potem na skraju polany wychyliła się z zarośli postać ludzka. Żółty kolor twarzy, oświetlonej płomieniem ogniska, zdradzał Mulata Manuela. Przez parę sekund stał nieruchomo, tak samo jak jego towarzysz. Oczy obydwu błyszczały złośliwą radością, zwycięstwo zdawało się pewne, ofiara nareszcie znajdowała się w ich mocy, na wyciągnięcie ręki.

Po chwili jednak cofnęli się, aby wyjść w innym miejscu, bardziej dogodnym do napaści. Pełzli na brzuchach podobni gigantycznym jaszczurkom. Mulat pierwszy. Trzymając nóż w prawej, a karabin w lewej ręce, gotów był rzucić się na Carlosa.

Ten spał spokojnie, na trawę padał cień jego ciała. Mulat dla większego bezpieczeństwa zbliżył się od zacienionej strony. Gdy zna-lażł się na trzy kroki od ofiary, zerwał się na kolana, a silny blask ognia oświetlił jego postać. Godzina jego triumfu wybiła.

Nagle z zagajnika rozległ się wystrzał karabinu, jednocześnie jak-by przeleciała błyskawica koło wierzchołka dębu stojącego z boku. Mulat skoczył, wyciągnął ręce naprzód, wydał straszny okrzyk, za-chwiał się i upuściwszy nóż i oręż poleciał głową w ognisko.

Zdumiony Zambo myśląc, że wystrzelił człowiek leżący w pobliżu stosu, rzucił się nań, wbił weń z wściekłością swój nóż, lecz w tej samej chwili z wrzaskiem odskoczył w tył i nie dbając o swego kamrata zniknął w zaroślach.

Postać rozłożona koło ognia nie poruszyła się nawet. Ale z wysokie-go dębu spuścił się w dół na pół obnażony człowiek. Na polanie rozległ się świst i koń ciągnąc za sobą laso, przybiegł do drzewa. Na pół nagi mężczyzna wskoczył na siodło i popędził za uciekającym Zambo.

## ROZDZIAŁ XXXII

### Z WIERZCHOŁKA DRZEWA

A czy przy ognisku ktoś leżał? Naturalnie nie, był to podstęp Carlosa. Przybywszy na polanę przede wszystkim ułożył na trawie Hektora, nakazał mu spokój i przystąpił do urzeczywistnienia planu, który powstał mu w głowie w czasie drogi tutaj na wzgórze. Zrobił stos z suchych sęków i podpalił go. Jego uwagę zwróciły gałęzie pitagoja, którym blask ognia nadawał wygląd kamiennych kolumn.

Jedną z nich, największą, zrąbał, rozciął pień i gałęzie na kawałki różnej wielkości i przyciągnął do stosu. Naturalnie nie miał zamiaru dorzucać tych wilgotnych polan do ognia, które prędzej ugasiłyby, aniżeli podsyciły płomień. Obrobił je w ten sposób, aby razem złożone z daleka wyglądały jak ludzki manekin. Na to na wierzch narzucił szeroką mangę. Przy pomocy pęków trawy dorobił mu głowę, nakrył ją swym kapeluszem, jak gdyby w celu uchronienia śpiącego od rosy i moskitów.

Ponieważ wszyscy myśliwi mają zwyczaj spać nogami zwróconymi w stronę ognia, bardzo ważną rzeczą było sprytne dorobienie dolnych kończyn. Na okrągłe kawałki drewna nałożył swe buty i przykrył je połami płaszcza. Buty miały ostrogi, które w blasku płomienia świeciły z daleka. Ubrawszy w ten sposób swą kukłę, obejrzał ją z różnych stron polany i zadowolony ze swego pomysłu świsnął na konia. Ten przybiegł natychmiast. Carlos okręcił lejce wokół łęku. Mądre zwierzę pojęło, że kazano mu się przestać paść. Spokojnie więc stanęło aż do chwili nowego polecenia. Następnie łowca rozwinął lasso, przywiązał je do munsztuka, a jego drugi koniec ukrył pod fałdami mangi, jak gdyby śpiący trzymał go w ręku. Wszystko to było tak zręcznie sporządzone, że nawet najbardziej wnikliwy obserwator mógłby z większej odległości ulec złudzeniu, że to człowiek.

Podłożywszy zatem chrustu do ognia, począł oglądać pobliskie drzewa i wybór padł na dąb, którego grube gałęzie sięgały wysoko w górę. Wijąca się wokół dębu roślinność powodowała, że gęstwina jego korony była wprost nieprzenikniona w nocy.

Ten stary dąb w sam raz dla mnie - pomyślał Carlos. - Z odległości trzydziestu kroków strzał pewien. A teraz pomyślmy o Hektorze. Obejrzał psa, który leżał nieruchomo tam, gdzie go zostawił. Rany nie były tak groźne, jak to na pierwszy rzut oka wyglądało, krew zaczęła już krzepnąć.

- Biedaku! - powiedział cicho do psa Carlos. - Wylizesz się z tego. Ale na zawsze zostaną na skórze ślady sztyletu. Pomszczę cię, przyjacielu! Jednak co z tobą zrobić? Ukryję cię tak, aby cię nie zauważyli. - I uważnie począł oglądać drzewo.

Od strony przeciwległej do wejścia na polanę rosło wielkie rozłożyste drzewo, na którym można było urządzić gniazdo z lian i wina. Łowca żwawo wziął się do roboty. Splótł wijące się rośliny w koszyk, wymościł go trawą oraz liśćmi i ułożywszy na tak zaimprovizowanej pościeli rannego psa, sam wszedł wyżej znalazłszy tam wygodne miejsce także dla siebie. Karabin miał nabity, lecz obawiając się nocnej wilgoci, podsypał na panewkę nowego prochu. Pilnie obejrzał także krzemień i krzesiwko. Wszystkie te drobiazgowo ostrożności były niezbędne, gdyż jego życie zależało od sprawności karabinu.

Po godzinie niecierpliwego oczekiwania na skraju polany ukazała się na krótko żółtawa postać i natychmiast skryła. Carlos zmierzył się za pierwszym razem, lecz nie zdążył wypalić, ale zaraz nadarzyła się lepsza okazja. Niedługo czekał, a Mulat ukazawszy się nieco dalej klęknął na kolana. I kiedy płomień ogniska padł na jego twarz, Carlos pociągnął za cyngiel. Kula trafiła w głowę nieprzejednanego wroga. Pełznący tuż za nim Zambo, po wbiciu sztyletu w kukłę, z krzykiem rzucił się w krzaki i w panicznej trwodze biegł przez las nie dbając o to, że czyni hałas deptając suche gałęzie. Jego całe męstwo gdzieś przepadło, siły słabły na skutek paraliżującego strachu.

Carlos, domyślając się tego stanu psychicznego drugiego przeciwnika, nie zamierzał ustępować. Przypuszczając, że wylękły Pepe nie odważy się stanąć do walki i zechce ratować się ucieczką pod osłoną mroku, postanowił przeciąć mu drogę. Dostawszy się na równinę, Carlos zawrócił w prawo i zbliżył się do rzeki, aby uniemożliwić wrogowi dotarcie do koni. Próbował nabijć karabin, lecz ku swemu wielkiemu rozczarowaniu nie mógł odnaleźć prochownicy. Zahaczyła się rzemieniem o gałąź i upadła w chwili, gdy skoczył z drzewa. Już chciał wrócić po nią, gdy nagle ujrzał między wierzbami Zambo skradającego się ku brzegom Pecos.

Zanim znajdę proch i nabiję karabin - pomyślał Carlos - on zdąży dosiąść konia i ujdzie mi. Muszę go złapać. Nie tracąc wiele czasu rzucił karabin i puścił się ku rzece. Za chwilę znalazł się oko w oko ze swoim przeciwnikiem. Ten z początku zrobił minę, jakby pragnął przyjąć walkę, lecz będąc jeszcze wciąż pod wpływem panicznego strachu, raptem odmienił zamiar i szybko rzucił się w wodę.

Carlos osłupiał, nie przewidziawszy tej okoliczności, ale widząc Pepe gramolącego się na przeciwległy brzeg, spadzisty i wysoki, zeskoczył z mustanga, skoczył w nurty Pecos, przebył ją wplaw i puścił się w pogoń za wrogiem.

Chociaż Zambo wyprzedził go o jakieś dwieście kroków, łowca począł go doganiać. Walka była nieunikniona. Pepe zrozumiał to i zatrzymał się jak osaczone w matni zwierzę. Wyciągnął nóż. To samo uczynił Carlos. Ostrza długich noży błysnęły wśród mroków nocy. Po chwili przeciwnicy z wściekłością rzucili się na siebie. Walka nie trwała długo. I Zambo zwałił się ciężko na ziemię. Śmiertelnie ranny próbował jeszcze wstać, ale żył tylko kilka sekund i skonał w konwulsjach.

Przekonawszy się, że śmierć położyła swą pieczęć na okrutne oblicze Pepe, zwycięzca oddalił się, przepłynął rzekę, wsiadł na konia i pojechał szukać prochownicy. Gdy ją odnalazł, poszedł do lasu po Hektora. Płomień stosu wzbił się w górę trawiąc ciało Mulata. Jasno oświetlił jego czerwoną, oblaną krwią twarz. Odwróciwszy oczy od tego straszego widoku, Carlos ubrał się, wziął psa, siadł na koń i ruszył w kierunku wąwozu.

## ROZDZIAŁ XXXIII

### POJMANIE

Więść o odnalezieniu trupów Manuela i Pepe powiększyła ogólną nienawiść do Carlosa, gdyż, jak sądzono, ich śmierć była niewątpliwie jego dziełem. Jego imieniem matki straszyły dzieci, a nawet co strachliwsi mężczyźni, mówiąc o nim, żegnali się krzyżem świętym. Teraz bardziej niż kiedykolwiek szukali w nim nadnaturalnej mocy, dużą rolę przypisując też czarom matki. W jaki sposób złapać go lub zabić, skoro jest w zмовie z diabłem?! - tak tłumaczyli swą opieszałość. Wreszcie uznali, że jedyną deską ratunku będzie oskarżenie matki i zagrożenie spalenia jej na stosie. Wtedy Carlos - jako kochający syn - mógłby się oddać w ręce prawa. Myśl tę rzuciło kilku znakomitych obywateli, a wielu jej przyklasnęło. Jednak należało odpowiednio przygotować opinię publiczną do tego okrutnego czynu, zwłaszcza że nie wszyscy wierzyli w te nieczne postęпки młodzieńca, gdy pewien nieoczekiwany wypadek wpłynął na zmianę nastrojów okolicy.

W niedzielę rano, gdy tłumy wychodziły z nabożeństwa, okryty kurzem jeździec przygalopował na plac. Był to sierżant Gomez.

- Przyjaciele! - zawołał. - Carlos aresztowany!

Nowinę przyjęto entuzjastycznie. Rzucano do góry kapelusze, kilka minut grzmiało donośne: hura! Sierżanta Gomeza wiwatowano jak zwycięzcę.

Rzeczywiście Carlos znajdował się w rękach żołnierzy, którym jednak nie pomogła ani przebiegłość, ani siła - tylko, jak często w takich przypadkach bywa, zdrada. Jeden z robotników powiadomił ich, że poszukiwany pojawił się w rodzinnym domu. Carlos pragnął po kryjomu wywieźć matkę i siostrę. I po to zakradł się na własną farmę. Na nieszczęście nie miał przy sobie Hektora, którego, jeszcze chorego, zostawił w kryjówce. W ten sposób nie mógł być w porę uprzedzony o niebezpieczeństwie.

Przekupiony przez Roblada i Yiscarrę robotnik, który stał na straży, natychmiast dał znać oddziałowi. Ponieważ żołnierze znajdowali się w pobliżu, dom otoczono i Carlos uległ w nierównej walce, aczkolwiek drogo sprzedał wolność, raniąc i zabijając kilku napastników.

Prawie jednocześnie z pojawieniem się Gomeza zagrzmiały trąby i wśród hucznych oklasków widzów na plac wkroczył pełen tryumfu oddział. W środku, mocno przywiązany do muła, jechał jeniec. Nie-zliczone tłumy ciekawe widoku znakomitego łowcy oskarżonego o tyle nieprawości odprowadziły go do samych wrót warowni. Publiczność jednak miała jeszcze jeden

spektakl: oto aresztowano także matkę i siostrę zbiega. Gdy je prowadzono do miejskiego więzienia, zawrzało wokół. Co chwilę rozlegały się głośne przekleństwa i okrzyki:

- Śmierć czarownicy, śmierć!

Nawet widok Rosity idącej z rozpuszczonymi włosami nie zmięczył serc fanatyków, bo wielu wołało:

- Śmierć im obu. I matce, i córce!

Nienawiść zapanowała tak wielka, że żołnierze, odprowadzający obie kobiety do więzienia, zmuszeni byli przyspieszyć kroku, aby je uchronić od prześladowań tłumu. Na szczęście Carlos nie widział tego. Nie wiedział też o aresztowaniu matki i siostry. Miał nadzieję, że oskarżyciele pozostawią je w spokoju, mszcząc się tylko na nim. Nie przewidział, jak daleko mogło sięgać ich barbarzyństwo i chęć zemsty.

Jeszcze tego samego wieczora, po wystawnej uczcie, Roblado i Viscarra weszli do kazamat z rozbawionymi gośćmi, nie mogąc sobie odmówić widoku schwytanego Carlosa. Zasypali go najbardziej ordynarnymi wymysłami, jakie tylko można sobie przedstawić. Długo milczał znosząc obelgi. Wreszcie nie wytrzymał i coś nadmienił o szczęce pułkownika. Ten rozwścieczony chwycił za sztylet, rzucił się na łowcę i pewno byłby go zabił, gdyby nie interwencja Roblada i towarzyszy.

- Czyś pan zapomniał - rzekł kapitan - że czekają nań oprawcy? Chyba nie chce się pan pozbawić przyjemności ujrzenia go na szafocie?

To powstrzymało komendanta, lecz był tak zawzięty, że kilka razy uderzył po twarzy bezbronnego więźnia.

- Łajdak! Lecz nim go kat zadusi, urządzimy mu wspaniały spektakl.

Po czym pijane towarzystwo wyszło, chwiejąc się na nogach, a Carlos zaczął się zastanawiać, jakiego rodzaju ma to być widowisko. Wiedział, że umrze publicznie na placu, a tłumy drwić będą z jego cierpienia. Nie oczekiwał wspaniałomyślności sędziów cywilnych ani wojskowych, a więc to nie jego miał na myśli pułkownik. Bez wątpienia niebezpieczeństwo groziło jego bliskim. Całą noc nie zmrużył oka, nawet wtedy, gdy światło dzienne przeniknęło do zakamarków jego ciemnicy.

Prawie cały ranek nie dawano mu wody i pożywienia. Strażnicy więzienni obchodzili się z nim brutalnie jak z mordercą, dla którego nikt nie ma jednego słowa litości. Jego przyjaciele jakby o nim też zapomnieli, bo został sam ze swym nieszczęściem i poniżeniem, jakby rzeczywiście był zbrodniarzem.

## ROZDZIAŁ XXXIV

### EGZEKUCJA

W południe wyprowadzono go z kazamat pod silną strażą. Na miejskim placu ujrzał niebywałe zbiegowisko. Tarasy roiły się od widzów, podobnie ulice. Co to wszystko znaczyło? Widocznie oczekiwano jakiegoś niezwykłego widowiska. Czy nie o nim wspominał komendant? I co to miało być takiego? - zastanawiał się Carlos. Może chciano go poddać publicznym torturom? Lecz nie. Straż wiodła go w stronę miejskiego więzienia. Towarzyszący im tłum lżył więźnia i obrzucał przekleństwami.

Pod ścianą nowej ciemnicy, do której Carlosa wprowadzono, ciągnęła się prymitywna ława i łowca legł na niej nie mogąc już ustać na nogach. Pozostawiono go samego, ale na zewnątrz przy drzwiach stało dwóch wartowników. W pobliżu wałęsało się kilku żołnierzy, inni udali się na plac powiększając liczbę widzów.

Carlos odpoczywał w bezruchu, prawie bez myśli. Ogrom nie zasłużonego nieszczęścia przygnębił go i pierwszy raz w życiu oddał się zupełnej rozpacz. Powiadają, że nadzieja gaśnie wraz z życiem, lecz to tylko piękny paradoks. On żył, ale nadzieja umarła już w jego sercu. Nie mógł liczyć na bezstronność sądu, ucieczka była wykluczona. Jego wrogowie, których szable dzwoniły w korytarzach, strzegli go z czujnością równą trudności schwytania go.

Jest rzeczą naturalną, że człowiek, uwięziony i zamknięty, bada wnętrze ciemnicy, aby się upewnić, że rzeczywiście nie ma dlań ratunku. I Carlos, kiedy trochę odpoczął, poddał się bezwiednie temu instynktownemu odruchowi. Ponieważ światło padało do środka przez otwór u góry, dostał się doń stając na ławie. Dzięki temu miał możliwość zorientowania się w grubości ścian zbudowanych ze zwykłej cegły. Bez większych trudności mógłby przebić mur, lecz na to potrzebowałby sporo czasu i ostrego narzędzia, a nie miał teraz ani jednego, ani drugiego. Był pewien, że za godzinę, może nawet za kilka minut, powiodą go na miejsce kaźni.

Wtem zamki szczęknęły pod naporem kluczy, drzwi się rozwarły i do więzienia wszedł Roblado i Yiscarra w towarzystwie Gomeza. Carlos pomyślał, że zbliża się jego ostatnia godzina. Wrogowie jednak przyszli, aby tylko naigrawać się z jego położenia.

- A więc, drogi przyjacielu - zaczął kapitan - przyrzekliśmy ci na dzisiaj widowisko i dotrzemy słowa. Właśnie zbliża się początek spektaklu. Stań tylko na ławce i patrz na plac, a znajduje się bardzo blisko, więc zbyteczna ci będzie lornetka. Nie trać czasu, stawaj na ławce, a zobaczysz niezły spektakl - rzekłszy to Roblado począł się hałaśliwie śmiać, a zaraz zawtórowali mu pułkownik i sierżant.



Gdy mężczyźni wyszli z ciemnicy, a strażnik posłuszny rozkazom dokładnie zamknął za nimi drzwi, zainteresowany słowami Roblada Carlos rzekł do siebie:

- Zapewne sądzili mego przyjaciela Juana za to, że mi pomagał.

I teraz, biedak, przyplaci to życiem. Tak, to jego egzekucja ma być dla mnie widowiskiem. Nie, nie dam satysfakcji tym łotrom - po-stanowił i usiadł na ławce z zamiarem niepodchodzenia do okna. Drogi Juanie! - wyszeptał ze ściśniętym sercem. - Umierasz za mnie i za Rositę!

Wtem otwór pociemniał i ukazało się w nim oblicze jakiegoś pachołka. Zobaczywszy w głębi więźnia mężczyzna przemówił sepleniącym głosem:

- Ej, Carlos, łowco bizonów! Chodź tu bliżej, zobacz, jaki widok przedstawia twoja matka, ta stara czarownica!

Ukaszanie zmii nie poderwałoby go prędzej z miejsca niż te słowa.

Momentalnie skoczył na równe nogi, zapomniawszy, że mu je związane. Przez kilka sekund chwiał się, wreszcie padł na kolana. Z trudem udało mu się wstać, wgramolić na ławkę i wyjrzeć na zewnątrz.

I nagle krew zastygła mu w żyłach, zimny pot wystąpił na czoło, zdawało mu się, że straszliwa poczwara targa mu serce żelaznymi pazurami.

Wolną przestrzeń na placu otaczał rząd żołnierzy. W środku stali oficerowie, burmistrz, urzędnicy i co znamienitsi obywatele. Większość z nich miała na sobie mundury. W innych okolicznościach grupa dostojników zwróciłaby na siebie ogólną uwagę. Dziś jednak nikt nie widział tych ważnych person, wszyscy patrzyli wyłącznie na dwie kobiety, znajdujące się w rogu, naprzeciw ciemnicy.

Carlos, skoro dojrzał siostrę i matkę, nie widział już ani tłumu, ani żołnierzy, ani urzędników we wspaniałych uniformach. Każda z bliskich mu osób była przywiązana do kosmatego muła nakrytego sięgającą ziemi czarną oponą\*. Muły trzymali pachołkowie także ubrani na czarno. Dwaj inni, też w odpowiednich do chwili kostiumach, dzierżyli w rękach długie baty z bawolej skóry. Nogi kobiet były związane pod brzuchem muła, ręce przeciągnięte przez szyję zwierząt i przymocowane do drewnianego drążka. Obie były obnażone do pasa.

Długie, jasne włosy Rosity zakrywały do połowy jej oblicze, widzom ukazały się tylko jej białe, krągłe plecy. Wychudzony grzbiet matki był kanciasty, lecz siwe włosy długością i gęstością prawie dorównywały włosom córki. Zaledwie to ujrzał, krzyk bolesny wy-rwał mu się z piersi - był to jedyny znak, jak okropnie cierpi. Od tego momentu pozostał niemy, nieruchomy i tylko przerywany oddech świadczył, że żyje.

---

\* Opona - narzuta, pokrowiec

Nie odchodził od okna. Oparty o ścianę piersią utrzymywał się w poprzedniej pozycji na podobieństwo statuy bez czucia, z nieruchomym, szklanym wzrokiem. Yiscarra i Roblado widzieli to ze swoich miejsc na środku placu i przeżywali głęboką radość z powodu katuszy Carlosa.

Na dany znak odezwały się dzwony. Pachołkowie ujeli muły za pyski i poprowadzili na środek placu. A tam ci, którzy trzymali baty, rozpuściwszy je rozpoczęli swoją czynność. Uderzenia były skrupulatnie liczone, a każde pozostawiało po sobie wyraźny ślad.

Czerwone pręgi zaledwie zaznaczyły się na ciele wychudłej staruszki, lecz z przerażającą wyrazistością uwidoczniły się na białej, delikatnej skórze młodej dziewczyny. Rzecz dziwna, ani jedna, ani druga ani razu nie krzyknęła.

Staruszka zachowywała się, jakby nic nie czuła, najmniejszym bowiem drgnieniem nie pokazała po sobie, że cierpi. Rosita febrycznie drżała i wydawała jęki, ale tak słabe, że zaledwie słyszeli je kaci. Gdy odliczono sześć uderzeń, ze środka placu rozległ się głos:

- Dziewczynie wystarczy!

Tłum powtórzył ten okrzyk. Kat Rosity zwinął swój kańczug. Drugi jednak uderzył aż dwadzieścia pięć razy. Gdy skończył, rozległa się muzyka i przy dźwiękach trąb przeprowadzono kobiety na drugi róg placu. Dziewczynie przebaczone, lecz drugi kat w dalszym ciągu spełniał swoją powinność. Po kolejnej serii uderzeń, również przy odgłosie trąb, przeprowadzono staruszkę do trzeciego rogu i tu wszystko się powtórzyło od nowa.

Ta straszna egzekucja zakończyła się dopiero za czwartym razem, po czym urzędnicy i kaci rozeszli się. Dokoła ofiar zebrała się grupa ludzi; więcej było wśród nich ciekawych widoku staruszki okrzyczanej czarownicą aniżeli współczujących. Pomimo całego zajścia i oko-liczności nie okazywano matce Carlosa litości. Fanatyzm zagłuszył wszelkie uczucia ludzkie. Wreszcie rozwiązano rzemienie, krępujące kobiety, skropiono je wodą i narzucono na ich poranione plecy ubranie. Obie były nieprzytomne.

Zapadł wieczór. Tłum rozszedł się. Nikt już nie zwracał uwagi na pobite i leżące biedaczki. Wtedy podjechała do nich nagle dobrze wyomoszczona sianem fura i trzech Indian przeniosło na nią ofiary. Fura odjechała za miasto. Indianom towarzyszyła Józefa, która znów przyszła na pomoc bliskim Carlosa.

Wkrótce dotarli do stojącego na uboczu domu, z gościnności którego już raz siostra Carlosa skorzystała. Kiedy wniesiono kobiety do środka, okazało się, że staruszka nie żyje. Gdy Rosita się ocknęła i dowiedziała się o śmierci matki, wpadła w tak wielką rozpacz, że wydawało się, że i ona pójdzie śladem swej matki. Dopiero nad ranem uspokoiła się nieco i zapadła w nie-spokojny sen.

## ROZDZIAŁ XXXV

### MOŻLIWOŚCI UCIECZKI

Całą przerażającą egzekucję, która miała miejsce na placu, Carlos widział stojąc przy oknie swego więzienia. Gdy kat uderzał, z piersi nieszczęśnika wydobywał się głuchy jęk, a jego oczy trawił dziwny płomień.

Ktokolwiek przypadkowo lub z ciekawości rzucił nań okiem, był przerażony wyrazem cierpienia, jaki malował się na jego twarzy. Na skronie wystąpiły mu żyły, oczy rzucały pioruny, zęby zwarły się, oblicze zbladło i znieruchomiało na podobieństwo marmuru. Tkwiał na swym stanowisku jak sfinks. Widział tylko dwa rogi placu, ale gdy smutna procesja skryła się na trzecim, nie poczuł najmniejszej ulgi, gdyż wiedział, że egzekucja trwa dalej.

Bez czucia zsunął się z ławki, pragnąc pozbawić się życia. Jego rozpacz i ból stały się nie do zniesienia, tylko śmierć mogła je przerwać. Był jednak mocno skrupowany, ręce związane mu za plecami, ażeby nie mógł przegryźć więzów zębami. Lecz od obficie spływającego potu, powstałego na skutek silnych przeżyć, rzemienie naciągnęły się i do tego stopnia stały się elastyczne, że nie upłynęło dziesięć minut, a więzień oswobodził ręce. Wyprostował wtedy rzemienie, na jednym końcu zrobił pętlę, a drugi, wszedłszy na ławkę, przerzucił przez poprzeczną belkę. Już nałożył stryczek na szyję. Jeszcze raz spojrzął na plac. Nie ujrzał ani matki, ani siostry; oczy wszystkich były zwrócone w róg przylegający do więzienia.

Nagle w powietrzu rozległ się świst bata. Okrucieństwo oprawców i tragiczny los najbliższych pokonały jego zwątpienie. Wstąpiły weń nowe siły.

- Boże miłosierny! - zawołał. - Kaci jeszcze nie skończyli!

Trzeba być szaleńcem, aby teraz myśleć o samobójstwie. Ręce mam wolne, mogę stoczyć ostatnią walkę z tymi barbarzyńcami. Jeżeli nie wyważę drzwi, to przynajmniej zginę zaciekle się broniąc. - I począł odwiązywać pętlę.

W tej chwili jakiś ciężki przedmiot uderzył go w głowę. Z początku zdawało mu się, że to kamień rzucony do środka ręką jakiegoś fanatyka, lecz przedmiot padając na ławkę wydał metaliczny dźwięk.

Carlos rzucił się i chciwie chwycił pakunek, zawiązany kawałkiem jedwabnej wstążki. W paczce znajdował się zwitek złotych uncji, długi nóż i karteczka. Przede wszystkim wziął tę ostatnią.

Słońce zaszło, na tyle jednak było widno, że przeczytał następujące słowa: „Pańska egzekucja wyznaczona na dzień jutrzejszy. Posyłam Panu narzędzie, przy pomocy którego można

wyłamać ścianę. Z zewnątrz znajdziesz Pan ludzi, którzy odprowadzą Cię w bezpieczne miejsce. Złoto pomoże przekupić straż. Nie potrzebuję zalecać Panu odwagi i stanowczości. Ukryje się Pan chwilowo w domu J. Do widzenia!”

Podpisu nie było, ale Carlos poznał charakter pisma.

- Dobra, szlachetna dziewczyna - wyszeptał, chowając list na piersi. - Jeżeli mam umrzeć, to przynajmniej nie na szafocie. Żywy nie oddam się w ręce wrogów.

Prędko rozwiązał sobie nogi, wstał i począł chodzić po więzieniu spoglądając na drzwi. Postanowił rzucić się na pierwszego żołnierza i przez kilka minut miotał się jak tygrys w klatce. Nagle rozmyślił się. Podniósł rzemienie, które rzucił, na nowo zamotał sobie nogi, lecz w ten sposób, aby można je zwolnić przy byle ruchu.

Schowawszy starannie pod myśliwską koszulę nóż i złoto, zdjął rzemień z belki, założył ręce na plecy, jak gdyby były mocno związane. Po ukończeniu tych przygotowań wyciągnął się na ławce, zwrócił twarzą do drzwi i udawał-sen.

O tej samej porze w domu don Ambrosia, który udał się do warowni na ucztę z okazji pojmania Carlosa, wszyscy już spali. Nawet odźwierny w oczekiwaniu pana zdrzemnął się na ławce u bramy. U wrót otwartych stajni czuwał służący Anders, który od czasu do czasu kocimi krokami przebiegał tam i z powrotem podwórze, jakby czymś się niepokojąc. Gdyby stajnie były wewnątrz oświetlone, można by w środku zobaczyć cztery osiodłane konie i przy wnikliwszym patrzeniu skonstatować zastanawiającą rzecz - że ich kopyta są obwiązane grubą szmatą.

Przez cały wieczór z pokoju córki don Ambrosia przenikał przez zasłony słaby promień światła. Nagle lampa zgasła. Catalina otworzyła drzwi i cicho przemknęła pod ścianą do stajni. Potem szeptem zawołała na Andersa.

- Słucham panienkę - parobek zjawił się natychmiast.

- Konie osiodłane?

- Gotowe, proszę panienki.

- Obwiązałeś kopyta?

- Najstaranniej.

- Ale co zrobimy z odźwiernym? - spytała Catalina z rozpaczą. - Czeka na ojca. Może być za późno. Najświętsza Panno!

- A gdybym z odźwiernym tak samo postąpił, jak z Wincentą?

- Gdzie ona jest?

- W oranżerii, związana, z kneblem na ustach. Nie ruszy się z miejsca, dopóki jej kto nie uwolni. Rzeknij, panienko, słowo, a to samo zrobię z odźwiernym.

- Nie! Nie! Kto wtedy otworzy ojcu? A Carios może już wolny, czeka na nas! Co robić?

Ach!

Wykrzyknik ten ujawniał nowy pomysł.

- Posłuchaj, Anders. Czy konie mogą przepłynąć tam rzekę?

- Nic łatwiejszego.

- W takim razie przeprowadź je przez ogród. Nie, zaczekaj!

Catalina rzuciła okiem na długą alejkę, która prowadziła do ogrodu i znajdowała się na wprost bramy. Nawet w mroku odźwierny, który nie spał, nie mógł nie zauważyć przejścia czterech koni. Jak zlikwidować tę przeszkodę? Pomyślawszy chwilę rzekła:

- Ja sama przeprowadzę konie. A ty idź do odźwiernego. Jeżeli śpi, tym lepiej. W przeciwnym razie zacznij z nim rozmowę i po-proś, aby ci otworzył furtkę. Wejdz z nim za wrota i zabaw go czas jakiś.

Propozycja była nie najgorsza i Anders, który miał przyrzeczone sowite wynagrodzenie, zrobił, co mu kazała. Catalina przekonawszy się, że mężczyźni rozmawiają, weszła do stajni, wyprowadziła z niej konia, potem poszła z nim na koniec ogrodu i przywiązała go do drzewa. Tak samo postąpiła z trzema pozostałymi. Następnie wróciła, zamknęła stajnię i własny pokój. Rzuciwszy bojaźliwie okiem na bramę, pośpiesznie weszła do ogrodu i tam w oczekiwaniu na Andersa, siadła na swego konia, trzymając za lejce inne.

Po kilku minutach Anders życząc odźwiernemu spokojnej nocy udał, że idzie spać. Wkrótce stanął przed swą panią. Fortel udał się. Uwolniwszy uprzednio kopyta koni ze szmat z wielką ostrożnością weszli w wodę. Przepłynęli na drugi brzeg i skierowali się na drogę do wzgórza. Lecz nie to było celem ich podróży. Niebawem skręcili wśród zarośli na ścieżkę, która wiodła do domu Józefy.

## ROZDZIAŁ XXXVI

### PRZYSIĘGA

Na korytarzu rozległy się kroki i dał się słyszeć głos żołnierzy.

- Więc jest tutaj? - spytał jeden z nich.

- Tak - odparł drugi. - Ale jutro już się z nim załatwią.

Właśnie stawiają na placu szafot.

Drzwi się rozwarły i do więzienia weszło kilku ludzi z latarkami, aby spojrzeć na skazańca i sprawdzić, czy ma więzy. Obrzuciwszy go obraźliwymi wymysłami, żołnierze zostawili go samego i Carios ku najwyższej swojej radości usłyszał, że opuszczają więzienie. Natychmiast uwolnił się z więzów, ujął nóż i wziął się do pracy.

Wybrał najbardziej oddalony od drzwi kąt, mianowicie ten, który wychodził na pole. Więzienie było czasowe. Władze miejskie osadzały w nim najgroźniejszych przestępców. Ścianę zbudowaną z dużą domieszką gliny, a małą ilością cegły łatwo było żłobić nożem i w przeciągu godziny powstał w niej otwór wielkości głowy. Carios zrobiłby go prędzej, gdyby nie był zmuszony zachowywać ciszy i jak najdalej posuniętej ostrożności. Obawiał się też warty.

W pewnej chwili nawet zdawało mu się, że klucz rusza się w zamku i z nożem w ręku szykował się na spotkanie strażnika, aby przebić się siłą na zewnątrz. Na szczęście nikt go nie niepokoił. Straż nie dawała najmniejszego znaku swej obecności.

Poczuwszy w otworze powiew chłodnego powietrza, Carios począł nadśluchiwać... Cisza! Wyjrzał i zobaczył w dole kaktusy i co ważniejsze, dużo krzaków, wśród których łatwo mógł się ukryć. Noc była ciemna. Na ulicy pusto. Więzień poszerzył otwór i bezszelestnie wysunął się na zewnątrz. Czas jakiś pełznął wśród traw i chaszczki, a powstał, gdy spostrzegł, że ostatnie domy już są poza nim. Gdy trzymając się cienia krzaków przekradał się na pole, zupełnie niespodzianie wyrosła przed nim ludzka postać i delikatny głos wymówił cicho jego imię. Poznał Józefę.

Zamieniwszy kilka słów, w milczeniu udali się w swą drogę. Obszedłszy miasto znów znikli w zaroślach i w pół godziny dotarli do celu. Carios z płaczem przypadł do trupa matki. A gdy się podniósł, zobaczył przy sobie swą zbawczynię i siostrę, płaczącą gorzko. Nie było jednak czasu na oddawanie się smutkom.

- Gdzie konie? - spytał Catalinę.

- Za chatą.

- Jedziemy! Nie ma chwili do stracenia. Musimy jak najprędzej uciekać!

To rzekłszy zawinął ciało matki w płaszcz, wziął go na ręce i wyszedł z domu. Kobiety wskazały mu drogę do koni. Gdy zobaczył swego pięknego mustanga, którego Antonio sobie wiadomym sposobem tu przywiódł, wdzięcznością błysnęły mu oczy.

Po kilku minutach kawalkada ruszyła. Na czterech koniach jechali: Catalina, Rosita, Anders i Antonio. Carlos, mając przed sobą zwłoki matki, siedział na swym wiernym mustangu.

- Czy kierować się w dół, ku dolinie, panie? - spytał Metys.

Carlos wahał się minutę.

- Nie - odparł wreszcie. - Z tej strony ruszy za nami pogoń.

Pojedziemy wężozem Ninny i nikt się nie domyśli, żeśmy obrali tę trudną drogę. Naprzód, Antonio, znaną ścieżką wśród zarośli.

Dopóki nie wjechali wężozem na szczyt, nie zamienili z sobą ani jednego słowa. Carlos kazał Metysowi prowadzić resztę, a sam pozo-stał w ariergardzie. Zboczył w stronę cypla Ninny Perdidy. Wstrzymał konia na samym jego końcu, skąd mógł obrzucić okiem całą dolinę. Wśród mroków nocy była podobna ogromnemu kraterowi wygasłego wulkanu i światła błyszczące w oddalonym mieście i warowni wydawały się ostatnimi iskrami nie ostygłej jeszcze lawy. Koń stanął bez ruchu, a jeździec podniósł do góry trupa i zawołał stłumionym głosem:

- Mateczko! Dlaczegoż nie możesz ani oczu otworzyć, ani usłyszeć mnie choć na jedną minutę? Wziąłbym cię za świadka mego ślubowania. Klnę się, że zostaniesz pomszczona! Od tej chwili po-święcę wszystkie siły, własną duszę, nawet życie, jeśli będzie trzeba, aby cię pomścić. Lecz po cóż używam tego słowa? Żądam tylko sprawiedliwości i przykładowego ukarania najbardziej niecnym morderców na świecie. Duchu mojej matki, usłysz mnie! Oni będą ukarani. Twoja śmierć, twoje męki nie zostaną bez zemsty. A dla was, zbrodniarze, weselący się, uczujący teraz, nadejdzie czas zapłaty! Obiecuję wam, że niedługo powrócę! A wtedy staniecie oko w oko z Carlosem, łowcą bizonów!

Wyrzekłszy tę groźbę wyciągnął przed siebie prawicę, a jego oblicze wyrażało zapowiedź zwycięstwa. Jakby dzielając uczucia pana, koń głośno zarżał i posłuszny jeźdźcowi, puścił się galopem w ślad za kawalkadą.

## ROZDZIAŁ XXXVII

### SMUTNY KONIEC WESOŁEJ ZABAWY

Gdy skończyło się ponure widowisko na placu, oficerowie wrócili do warowni, w której przygotowano ucztę z okazji schwytania Carlosa. Wyżsi urzędnicy, znamienitsze osoby miasta, uważali niejako za swój obowiązek i poniekąd przywilej uroczystie uczcić pojmanie zbiega i wymierzenie kary chłosty jego matce i siostrze.

Perspektywa egzekucji Carlosa przepęlniła ich serca satysfakcją i zadowoleniem. Wesóło rozmawiali przy kolacji raz po raz wracając do tej sprawy. Roblado był u szczytu szczęścia.

- Bądź pan spokojny - przekonywał go don Ambrosio, pod wpływem wina bardziej skłonny do wynurzeń. - Moja córka zosta-nie pańską żoną. Co prawda całym pańskim majątkiem są oficerskie szlify, ale ja mam tyle, że starczy dla dwojga i chociaż moja córka odmówiła panu, przekonam ją i jeszcze będzie dumna, że jest żoną męznego oficera.

Don Ambrosio rozprawiał o tym z wielką pewnością siebie. Widocznie Catalina obiecała mu posłuszeństwo, aby tym łatwiej ukryć swe prawdziwe zamiary.

Wino lało się obficie. Pieśni, toasty, mowy następowały jedne po drugich. Choć dochodziła północ, rozbawieni biesiadnicy ani myśleli kończyć zabawę. Nagle ktoś zawołał:

- Panowie, brak nam tu kogoś na tej uroczystej kolacji. Proponuję, aby przyprowadzić tutaj Carlosa, łowcę bizonów.

- Zgoda! Zgoda! - zawołał zgodny chór rozochoconych gości.

- Nie widziałem go nigdy dotąd - zauważył pewien znakomity obywatel. - Aż chęcią poznałbym tę tak wybitną osobistość.

szli do miasta. Jasne było, że jeżeli wiódł ich Carlos, to tylko w celu pomszczenia się na wrogach. Powodowany patriotyzmem i nadzieją na wysokie wynagrodzenie, pastuch postanowił uprzędzić nieszczęście, podążyć w dolinę i zawiadomić garnizon.

Zaledwie Indianie zdążyli go minąć, ruszył na skróty do warowni. Lecz nie znał przezorności białego wodza. Jego baczne patrole dawno obserwowały pastucha i jego stado, a teraz, nim zdołał zrobić kilkadziesiąt kroków, otoczyły go i wzięły w niewolę, a jego barany poszły pod nóż - na śniadanie dla tych, których chciał zdradzić. Dotychczas biały wódz szedł ze swoim oddziałem drogą znaną kupcom i myśliwym, lecz oto Indianie skręcili i kolumna, milcząc, pociągnęła bokiem płaskowzgórza. Po godzinie dotarli do głównego wzniesienia nad wąwozem, w którym biały wódz tyle razy znajdował schronienie.



Aczkolwiek księżyc jeszcze nie zaszedł, to już schylał swą tarczę ku horyzontowi i jej promienie nie mogły dotrzeć do ogromnej kotliny. Ciężko było schodzić w przepaść, lecz nie dla takich ludzi i nie pod takim dowództwem.

Rzekłszy kilka słów wojownikowi, który bezpośrednio podążał za nim, wódz skierował swego konia do rozpadliny pomiędzy skałami. Indianin przekazał rozkaz najbliższemu towarzyszowi i skrył się za skałą, trzeci postąpił tak samo i wszyscy zjechali do wąwozu.

Czas jakiś słyhać było stukot kopyt po krzemienistej ziemi, a potem zapanowało milczenie. Najmniejszy ruch nie zdradzał obecności ludzi i koni w kotlinie, tylko wycia stepowych wilków, straszliwy krzyk orła i ryki dzikich zwierząt, zatrwożonych w swoich legowiskach, przerywały złowrogą ciszę.

Minął dzień i księżyc znów ukazał się na ciemnym niebie. Olbrzymi wąż, zwinięty dotąd w kłębek w kanionie, wypełza cicho na równinę i rozciąga swoje długie pierścienie. Wojownicy docierają do brzegów Pecos. Każdy z nich rzuca się z koniem do rzeki, aż pienia się fale, i wychodzi na przeciwległy brzeg, obryzany wodą, błyszczącą w świetle księżyca.

Teraz oddział wstępuje na wyżynę, panującą nad doliną San Ildefonso. Tu się zatrzymuje, posyła naprzód rekonesanse i dopiero po ich powrocie udaje się w dalszą drogę.

Mrok jest niezbędny, aby się przedsięwzięcie powiodło, dlatego biały wódz chce doczekać zachodu miesiąca. Lecz zanim ten skryje się za wzgórzem Sierra Blanca, oddział dociera do cypla Ninny Perdidy.

Wreszcie po wstępnej obserwacji okolicy Carlos prowadzi swoich wojowników do przejścia. Po upływie pół godziny pięciuset czerwonoskórych znika w labiryncie zarośli. Metys Antonio prowadzi ich na łąkę należącą do Carlosa, tu oddział zsiada z koni, przywiązuje je do drzewa.

Atak ma się odbyć pieszo. Jest pierwsza po północy. Księżyc zaszedł i obłoki, które oświetlone były jego promieniami, zupełnie ściemniały. Przedmioty stały się niewidoczne na odległość dwudziestu kroków. Ogromny kontur warowni czerniał na ołowianym tle nieba. Po jej murach chodziła niewidoczna w mroku straż, lecz co pewien czas rozlegało się jej zwykłe:

- Czu-waj!

Garnizon odpoczywał. Nawet warta spała głębokim snem rozciągnąwszy się na kamiennych ławkach pod sklepieniem bramy. Forteca nie obawiała się napaści. O najściu nie mogło być mowy. Sąsiednie plemiona żyły w pokoju z okolicą, a buntowniczy Tagnosi znikli. Dla bezpieczeństwa garnizonu wystarczał jeden wartownik przy wrotach, a drugi na tarasie. Mieszkańcy twierdzy nawet nie podejrzewali zbliżania się wroga.

- Czu-waj! - znowu woła wartownik na tarasie.

- Czu-waj! - wtóruje mu z dołu towarzysz.

Ani jeden, ani drugi nie jest na tyle doświadczony i uważny, aby spostrzec podejrzaną postać pełznącą w gęstej trawie i bez szmeru zbliżającą się do warowni. Obok wartownika pali się latarnia i choć oświetla pewien odcinek placu, żołnierz nic nie widzi, bo nie spodziewa się ataku. Nagle coś przykuwa jednak jego uwagę, bo:

Kto idzie? - chce rzucić pytanie, lecz nie ma czasu go wymówić, gdyż z naciągniętych pół tuzina łuków wypuszczono jednocześnie sześć strzał, które utkwily w ciele wartownika. Ów pada z sercem przebitym nie wydawszy jęku.

Indianie rzucają się do wrót i na półsenna straż ginie, zanim zdąży chwycić za oręż. Rozlega się wojenny okrzyk Wakojów. Na podobieństwo potoku czerwonoskórzy wojownicy wpadają na dziedziniec.

Oblegają koszary. Żołnierze wybiegają w neglizju i bronią się zaciekle mimo pełnego zaskoczenia. Ze wszystkich stron huczą karabiny i pistolety. Lecz ten, kto raz wystrzelił, już nie ma czasu na nowo nabić broni.

Walka nie trwa długo, ale jest straszna. W jeden dziki zgiełk zlewają się krzyki, wystrzały i jęki. Krzyżują się szable i kopie. I oto wszystko ucicha. Koszary pustoszeją, krew zalewa dziedziniec zavalony trupami.

Indianie wymordowali wszystkich żołnierzy z wyjątkiem dwóch oficerów, których na rozkaz Carlosa pozostawiono przy życiu: pułkownika Viscarrę i kapitana Roblada. Najeźdźcy już znoszą do słupów budowli łatwopalne materiały i zapalają je. W powietrze wzbijają się kłęby dymu podświetlone od dołu czerwonym płomieniem. Płoną z trzaskiem jodłowe słupy, podtrzymujące taras, niebawem padają i twierdza staje się tylko kupą dymiących zgliszczy.

Czerwonoskórzy wojownicy nie biorą dalej udziału w tym widowisku. Ruszają w kierunku miasta. Postanawiają je spalić. Ich wódz poprzysiągł sobie zniszczyć całą kolonię. Przysięga się wypełniła, gdyż przed wschodem słońca miasto San Ildefonso stało się pastwą płomieni.

Don Ambrosio ocalał. Pozwolono mu udać się, dokąd chce, i zabrać ze sobą jego bogactwa. W ciągu dwunastu godzin miasto przestało istnieć, a kwitnąca dolina zamieniła się w pustynię. Strzały, kopie i tomahawki dokonały reszty.

## ROZDZIAŁ XXXIX

### OSTATNIA SCENA

Zbliżamy się do ostatniej sceny tego wstrząsającego dramatu, do opisania której brak słów. Miejsce zdarzeń - cypel Ninny Perdidy, na którym w dzień San Juana Carlos dał dowody swej nadzwyczajnej zręczności.

Akcja znów dotyczy pewnego rodzaju konnego przedstawienia, lecz aktorzy i widzowie dzisiaj zupełnie inni.

Na krawędzi skały stoi dwóch jeźdźców. Ich ręce nie trzymają lejców, lecz związane są na plecach. Nogi ściągnięto im pod brzuchem konia rzemieniami, aby nie spadli, a innymi rzemieniami, biegnącymi od skórzanych pasów, przymocowano do przedniego i tylnego łęku siodła.

Konie nie mogą inaczej zrzucić jeźdźców, tylko razem z siodłami, lecz te podtrzymują mocne popręgi. Mężczyznami na koniach są oficerowie garnizonu: Yiscarra i Roblado ubrani w galowe uniformy. Ludzie ci, którzy z takim rozbewstwieniem potraktowali bezbronną staruszkę i aresztanta Carlosa, teraz drżą znalazłszy się we władzy łowcy bizonów. Ich rysy wyrażają wszystko, co tylko jest okropnego w strachu, podłego w tchórzostwie i ponurego w rozpacz.

A dlaczegoż siedzą na koniach? Na dzikich mustangach, które mają przewiązane oczy? Mustangi, które zaledwie mogą utrzymać silni Tagnosi, zwrócone są głową do krawędzi przepaści. Za nimi wyciągnęli się w linię posepni i milczący Indianie. Na przedzie siedzi na swym karym koniu biały wódz, blady, lecz opanowany: jeszcze nie dokonał dzieła zemsty. Ani słowa nie zamienił ze swymi ofiarami, a ci ostatni nie starają się przebłagać jego gniewu, nie wiedzą nawet, że znajduje się tak blisko nich.

Tagnosi uważnie śledzą każdy ruch białego wodza.

Dał znak...

Drugi sygnał... Wakoje pędzą galopem, wydając dzikie okrzyki i kłują kopiami dzikie mustangi, które wściekle pędzą do przepaści. Jęki przerażenia, które wrywają się z ust ofiar, zagłuszają wrzask Indian.

Mustangi dopadają przepaści - jeszcze jeden skok i rzucają się ze strasznej wysokości unosząc jeźdźców w wieczność. Czerwonoskórzy wojownicy podjeżdżają do krawędzi i patrzą jeden na drugiego, a w oczach ich maluje się groza.

Oto przygalopowało jeszcze z tyłu dwóch jeźdźców. Wstrzymali konie na samym brzegu cypla. Jeden z nich to biały wódz.

Przechylił się nad otchłanią i spojrzał na roztrzaskane ciała ludzi i koni, które są teraz jedną bezkształtną masą. Westchnął głęboko z ulgą, jak gdyby się pozbył ogromnego ciężaru. Zwrócił się do przyjaciela, którego dziś uwolnił ;z więzienia i który mu towarzyszył: - Juanie, dotrzymałem przysięgi: matka została pomszczona!

## **ROZDZIAŁ XL**

### **ZAKOŃCZENIE**

O zachodzie słońca wojownicy indiańscy, porzuciwszy dolinę, skierowali się do Liano Estacado. Wracali do siebie, obładowani zdobyczą, którą wódz oddał im całkowicie, nie zabrawszy dla siebie najmniejszej nawet części. Carlos dowodził nimi mając przy sobie oddanego druha Juana, farmera.

Obaj mężczyźni byli posepni. Bo aczkolwiek w ich oczach fanatyczni mieszkańcy doliny nie zasługiwali na najmniejsze współczucie, nie mogli powstrzymać się od postawienia sobie pytania, czy ich zemsta nie przeszła granic nakreślonych przez ludzkość?

Jednak stopniowo ich twarze rozjaśniały się i młodzi druhowie myśleli tylko o spotkaniu czekającym ich na końcu drogi.

Carlos niedługo zabawił u życzliwych mu Wakojów. Obdarowany przez nich przyrzeczoną złotem, skierował się na wschód i założył kolonię na brzegach Rzeki Czerwonej w Luizjanie. Tam też się osiedlił i pędził spokojne i szczęśliwe życie ze swoją żoną, piękną Cataliną, której miłość z upływem lat nie zmalała.

Don Juan ożenił się z Rositą i zamieszkał w sąsiedztwie. Ich robotnicy zestarzeni się przy nich, a nasz znajomy Antonio, wstąpiwszy w związek małżeński z Józefą, stał się zarządcą swego pana.

Carlos od czasu do czasu polował w stronach swoich starych przyjaciół Wakojów, którzy przyjmowali go zawsze radośnie i nadal uważali za swego wodza.

W innym okresie zniszczenie San Ildefonso wywarłoby większe wrażenie w okolicy, lecz zdarzyło się ono w epoce, gdy panowanie Hiszpanów chyliło się ku upadkowi we wszystkich zakątkach kontynentu amerykańskiego.

Był to tylko jeden epizod z wielkiej liczby nie mniej dramatycznych wydarzeń.